

# POCIĘGIEL



ILLUSTROWANY  
KALENDARZ  
NA ROK 1925.

TKWIĘTY  
HUMOREM  
I SATYRĄ

Sptawka

~~Prutyjarsko srodo wartek pirotek~~

~~Porozumienie swartek pirotek~~

~~Prutyjarsko swartek pirotek~~

Do piatku przyjeżdżam u Wilb 20 zł

u pirotek wczem 5 zł = 25

a u in in in in 11 zł

in in in Dalej 1 80

**ROCZNIK XV.**

# **„POCIĘGIEL“**

**KALENDARZ ILUSTROWANY  
TKNIĘTY HUMOREM I SATYRĄ**

**NA ROK**

# **1925**

**L W Ó W**

**NAKŁADEM REDAKCJI „POCIĘGLA“  
Z DRUKARNI „PRACA“ LWÓW BERNSTEINA 17**

**1924**

NAJTAŃSZY W CAŁEJ POLSCE TYGODNIK  
ILUSTROWANY TKNIĘTY HUMOREM I SATYRĄ

P. T.

# „POCIĘGIEL“

WYCHODZI WE LWOWIE KAŻDEGO CZWARTKU

CENA EGZ. 15 GROSZY

PRENUMERATA ROCZNA KOSZTUJE 10 ZŁP.

W AMERYCE . . 4 DOLARY

W FRANCJI . . 50 FRANKÓW

ADRES REDAKCJI:

LWÓW ULICA FRIEDRICHÓW 5.

## Styczeń

Dnie tygodnia	Ś W I Ę T A	
	Rzymsko katolickie	Grecko-katolickie
1 C.	<b>Nowy Rok 1925</b>	19 N. Dek. 1924 W.
2 P.	Makarego op.	20 Ihnatyja m.
3 S.	Genowefy	21 Julianny m.
4 N.	<b>I po N. Roku</b>	22 E. p. R. Anast.
5 P.	Telesfora	23 10 Muczen.
6 W.	<b>Trzech Króli</b>	24 Jewhenji †
7 S.	Walentego B.	25 <b>Rożd. Chrysta</b>
8 C.	Seweryna op.	26 <b>Sobor Pr. Boh.</b>
9 P.	Marcjanny P. M.	27 <b>Stefana Mucz.</b>
10 S.	Pawła Pust.	28 2000 Muczen.
11 N.	<b>I po 3 K. Honoraty</b>	29 E. p. K. SS. M.
12 P.	Arkadiusza	30 Anyzji
13 W.	Weroniki p.	31 Mełanji
14 S.	Feliksa z Noli	1 <b>Henwar 1925</b>
15 C.	Maura op.	2 Sylwestra
16 P.	Marcelego i Ott.	3 Małachyja pr.
17 S.	Antoniego pust.	4 Sobor 70 ap.
18 N.	<b>2 po 3 K. Im. Jezusa</b>	5 E. p. Bohr H.
19 P.	Henryka	6 E. p. Bohojawł. H.
20 W.	Fabiana i Sebastj.	7 Sobor św. Joana
21 S.	Agnieszki P.	8 Hryhoryja
22 C.	Wincentego m	9 Połyjewkta
23 P.	Zaślubiny NPM.	10 Teodozyja m.
24 S.	Tymoteusza bisk.	11 Tatjana p.
25 N.	<b>3 po 3 K. Najśw. R.</b>	12 E. I po Boh.
26 P.	Pauliny i Polikarpa	13 Ermyła i Str.
27 W.	Iana Złotoustego	14 S. S. Oteć w S.
28 S.	Walerego i Kar. W.	15 Pawła
29 C.	Franciszka Salez.	16 Petra Wer.
30 P.	Martyny P.	17 Antonija
31 S.	Piotra Nolaski	18 Aftanazja Pr.

Kalendarz żydowski.

6. 10 Tebet, Post Obl. Jerozolimy. 26. 1 Szwat.

## Luty

Dnie tygodnia	Ś W I Ę T A	
	Rzymsko-katolickie	Grecko-katolickie
1 <b>N.</b>	<b>4 po 3 K.</b> Ignacego	19 <b>E. 2 po Boh.</b> Mak.
2 <b>P.</b>	<b>NPM. Gromniczej</b>	20 Jewfymyja
3 <b>W.</b>	Błażeja biskupa	21 Maksyma
4 <b>S.</b>	Weroniki P.	22 Tymofteja ap.
5 <b>C.</b>	Agaty P.	23 Kłymenta m.
6 <b>P.</b>	Doroty P.	24 Kseni
7 <b>S.</b>	Romualda	25 Hryhorja ap.
8 <b>N.</b>	<b>Starozap.</b> Jana z M.	26 <b>E. 3 po B.</b> Myt i F.
9 <b>P.</b>	Apolonji P.	27 Per. M. ś. Joana
10 <b>W.</b>	Scholastyki	28 Jefrema
11 <b>S.</b>	Łucjana	29 Ihnatyja m.
12 <b>C.</b>	Eulalji P. M.	30 <b>Trech Swiatych</b>
13 <b>P.</b>	Katarzyny Kr.	31 Kyra i Joana
14 <b>S.</b>	Walentego M.	1 <b>Fewr.</b> Trvfona
15 <b>N.</b>	<b>Mięsopust.</b> Faust.	2 <b>E. Strit. Hosp.</b>
16 <b>P.</b>	Juljanny p. m.	3 Sym. i Anny
17 <b>W.</b>	Konstancji	4 Izydora
18 <b>S.</b>	Flawjusza	5 Ahaftji
19 <b>C.</b>	Konrada pust.	6 Wukoła pr.
20 <b>P.</b>	Nicefora	7 Parftenija
21 <b>S.</b>	Eleonory	8 Fteodora S.
22 <b>N.</b>	<b>Zapustna</b> Piotra K.	9 <b>E. Miasopostna</b>
23 <b>P.</b>	Romany p.	10 Herłampyja
24 <b>W.</b>	Macieja Apostoła	11 Własija mucz.
25 <b>S.</b>	Anast † <i>Popielec</i>	12 Melelja
26 <b>C.</b>	Wiktora	13 Martyniana
27 <b>P.</b>	Aleksandra B.	14 Awksentyja
28 <b>S.</b>	Romana Leandra	15 Onysyma jep.
Kalendarz żydowski. 25. 1 Adar.		

## Marzec

Dnie tygodnia	Ś W I Ę T A	
	Rzymsko-katolickie	Grecko-katolickie
1 N.	<b>1 Wstępna</b> Albina	16 <b>E. Syrop.</b> Paruf.
2 P.	Symplicjusza	17 Teodora
3 W.	Kunegundy p.	18 Lwa pap. rym.
4 S.	Kazimierza † <i>S. d.</i>	19 Archipa ad.
5 C.	Fryderyka op.	20 Lwa ep.
6 P.	Kolety p. † <i>S. d.</i>	21 Tymofteja
7 S.	Tomasza z Ak. † <i>S. d.</i>	22 Petra, Anastaz.
8 N.	<b>2 Sucha</b> Jana Boż.	23 <b>E. I P.</b> Połykarpa
9 P.	Franciszki	24 Obr. hl. ś. Joan.
10 W.	40 Męczenników	25 Tarasja arch.
11 S.	Anieli i Konstantyn.	26 Porfiryja
12 C.	Grzegorza W. p.	27 Prokopyja
13 P.	Krystyny	28 Wasyłyja
14 S.	Maryldy	1 <b>Marta</b> Ewdokji
15 N.	<b>3 Głucha</b> Longina	2 <b>E. 2 P.</b> Fteodota
16 P.	Lubina	3 Jewtropija
17 W.	Gertrudy	4 Harasyrna
18 S.	Edwarda	5 Konomo M.
19 C.	<i>Józefa oblubieńca</i>	6 42 Mucz. w A.
20 P.	Joachima	7 Wasyłyja pr.
21 S.	Benedykta op.	8 Fteofyłakta
22 N.	<b>4 Środop.</b> Oktaw.	9 <b>E. 3 P.</b> 40 Mucz.
23 P.	Wiktorja a	10 Kondrata
24 W.	Gabrjela Archan.	11 Sofronija
25 S.	<b>Zwiastowanie NPM.</b>	12 Fteofana
26 C.	Emanuela	13 Nykyfora
27 P.	Jana Pust.	14 Benedykta pr.
28 S.	Sykstusa p.	15 Ahapija i 6 M.
29 N.	<b>5 Czarna</b> Cyryla	16 <b>E. 4 P.</b> S wyną
30 P.	Walerego	17 Ałekseja
31 W.	Balbiny	18 Kiryła

Kalendarz żydowski.

9. 13 Adar, Post Estery, 10. 14 Adar, Purim. 26. 1 Nisan.

## Kwiecień

Dnie tygodnia	Ś W I Ę T A	
	Rzymsko-katolickie	Grecko-katolickie
1 S.	Hugona	19 Chryzantfa
2 C.	Franciszka z Pauli	20 Sawy
3 P.	Ryszarda b. <i>NPMB.</i>	21 Jakowa pr.
4 S.	Izydora b.	22 Wasyłyja
5 N.	<b>6 Palmowa</b>	23 <b>E. 5 P.</b> Nikona
6 P.	Celestyna	24 Zacharija
7 W.	Hermana	25 <b>Błach. P. Boh.</b>
8 S.	Djonizego bisk.	26 Sobor. Hawr.
9 C.	<i>Wieczera Pańska</i>	27 Matrony Set.
10 P.	<i>Wielki Piątek</i>	28 Ilarjona
11 S.	<i>Wielka Sobota</i>	29 Marka
12 N.	<b>Wielkanoc</b>	30 <b>E. 6 P.</b> Joana
13 P.	<b>Poniedziałek Wielkan.</b>	31 Ipatija
14 W.	Walerjana m.	1 <b>Apr.</b> Maryji J.
15 S.	Anastazji	2 Tyta prep.
16 C.	Lamberta i Kaliksta	3 Czetwer wetyki
17 P.	Rudolfa	4 <b>Piatok Wetyki</b>
18 S.	Apolonjusza	5 Subota Wetyka
19 N.	<b>1 po W.</b> Bieta	6 <b>Woskres. Hosp.</b>
20 P.	Agnieszki	7 <b>Poned. Woskr.</b>
21 W.	Anzelma b.	8 <b>Wtor. Woskr.</b>
22 S.	Sotera i Kajusza	9 Ewpsychija
23 C.	Wojciecha bisk.	10 Ferentyja
24 P.	Jerzego M.	11 Antypv
25 S.	Marka Ew.	12 Wasyłyja
26 N.	<b>2 po W.</b> Klera	13 <b>E i Ant.</b> Arten
27 P.	Anastazji	14 Martyna
28 W.	Witalisa m.	15 Arystarcha
29 S.	Piotra męczennika	16 Ahepij
30 C.	Katarzyny Sen	17 Symeona

Kalendarz żydowski.

9. 15 Nisan 1 dz. św. Pesach. 10. 16 Nisan 2 dz. św. Pesach. 15. 21 Nisan 7 dz. św. Pesach. 16. 22 Nisan 8 dz. św. Pesach. 25. 1 Ijar.



## Maj

Dnie tygodnia	Ś W I Ę T A	
	Rzymsko-katolickie	Grecko-katolickie
1 P. 2 S.	Filipa i Jakóba Zygmunta Kr.	18 Iwana prep. 19 Fteodora
3 N. 4 P. 5 W. 6 S. 7 C. 8 P. 9 S.	<b>3 po W. Konst. 3 M.</b> Florjana Piusa X. pap. Jana w Oleju Domiceli Stanisława bisk. Grzegorza	20 <b>E. 2 Myrona</b> 21 Januarja 22 Salomeji 23 Heorhija 24 Sawy 25 Marka Ew. 26 Wasylja
10 N. 11 P. 12 W. 13 S. 14 C. 15 P. 16 S.	<b>4 po W.</b> Izydora Adolfa Pankracego Serwacego Bonifacego Zofji i 3 córek Jana Nepomucyna	27 <b>E. 3 Rozsł.</b> Sym. 28 Jasona A. 29 9 muczen. w K. 30 Jakowa ap. 1 <b>Maja</b> Jeremyi 2 Borysa 3 Teodozja
17 N. 18 P. 19 W. 20 S. 21 C. 22 P. 23 S.	<b>5 po W.</b> Paschalisa Feliks. i Szczep. † <i>S. d.</i> Piotra Cel. † <i>S. d.</i> Bernarda † <i>S. d.</i> <b>Wniebowstąpienie P.</b> Julji p. Dezyderjusza	4 <b>E. 4 Samar.</b> 5 Iryny 6 Jowa Mnoch. 7 Zn. cz. Kresta 8 Joana Boh. 9 Izaji pr. 10 Symeona ap.
24 N. 25 P. 26 W. 27 S. 28 C. 29 P. 30 S.	<b>6 po W.</b> Joanny Urbana pap. Filipa Jana pap. Wilhelma Maksymiljana Ferdynanda † <i>wig.</i>	11 <b>E. 5 Slipor</b> Mokija 12 Epyfanyja 13 Hrydorji m. 14 Izydora 15 <b>Wozn. Hosp.</b> 16 Modesta 17 Andronika ep.
31 N.	<b>Zielone Święta</b>	18 <b>E. 6 SS. Otc.</b>

Kalendarz żydowski.

12. 18 Ijar Lagbeomer. 24. 1 Siwan. 29. 6 Siwan 1 dz. św. Szewuot.  
30. 7 Siwan 2 dz. św. Szewuot.

## Czerwiec

Dnie tygodnia	Ś W I Ę T A	
	Rzymsko-katolickie	Grecko-katolickie
1 P.	<b>Poniedz. Ziel. Sw.</b>	19 Patrykja
2 W.	Erazma biskupa	20 Ftałateja
3 S.	Klotyldy † <i>S. d.</i>	21 Konstantyna
4 C.	Kwiryna	22 Wasyłyja
5 P.	Bonifacego † <i>S. d.</i>	23 Mychajła
6 S.	Norberta b. † <i>S. d.</i>	24 Symeona
7 N.	<b>1 po św. S. Trójcy</b>	25 <b>Sosz. św. Ducha</b>
8 P.	Medarda	26 <b>Poned. Sosz.</b>
9 W.	Felicjana	27 Fteraponta
10 S.	Małgorzaty	28 Nykyty pr.
11 C.	<b>Boże Ciało</b>	29 Fteodozji
12 P.	Onufrego	30 Izaakija
13 S.	Antoniego z P.	31 Jermyja ap.
14 N.	<b>2 po św. Bazylego</b>	1 <b>Jun. E. 1 po św.</b>
15 P.	Wita Modesta	2 Nikifora
16 W.	Franciszka	3 Łukjana
17 S.	Adolfa biskupa	4 Mytrofona
18 C.	Marka i Marcelina	5 Dorofteja
19 P.	Gerwazego	6 Gilarjona
20 S.	Sylwjusza	7 Fteodota
21 N.	<b>3 po św. Alojzego</b>	8 <b>E. 2 po św. Fteod.</b>
22 P.	Paulina biskupa	9 Kyryla
23 W.	Wandy	10 Tymofteja
24 S.	Jana Chrzciela	11 Warftołomeja
25 C.	Prospera b.	12 Onufryja
26 P.	Jana i Pawła	13 Akilyny
27 S.	Władysława † <i>wig.</i>	14 Aliseja pr.
28 N.	<b>4 po św. Leona II. p.</b>	15 <b>E. 3 po św. Amosa</b>
29 P.	<b>Piotra i Pawła</b>	16 Tychona cud.
30 W.	Emilji Wspom. św. P.	17 Manuiła m.

Kalendarz żydowski.

23. 1 Tamuz.

## Lipiec

Dnie tygodnia	Ś W I Ę T A	
	Rzymsko-katolickie	Grecko-katolickie
1 Ś.	Teobalda op.	18 Łeontyja
2 C.	<i>Nawiedzenie NMP.</i>	19 Judy
3 P.	Alfreda	20 Meftodyja
4 S.	Jana Kalas	21 Juljana mucz
5 N.	<b>5 po św.</b> Cyr. i Met	22 <b>E. 4 po S.</b> Jewsew.
6 P.	Izajasza proroka	23 Ahrypiny
7 W.	Pulcherji	24 <b>Różd, św. Joana</b>
8 S.	Elźbiety	25 Fewronji
9 C.	Łucji	26 Dąwyda
10 P.	Jana z Dukli	27 Samsona
11 S.	Pelagji m. Olgi	28 Kyra i Joana
12 N.	<b>6 po św.</b> Henryka	29 <b>E. 5 po S.</b> Petra i P.
13 P.	Małgorzaty	30 Sobor 12 Ap.
14 W.	Bonawentury	1 <b>Jul.</b> Kosmy i D.
15 S.	Rozesłanie Apost.	2 Poboż. Kyry B.
16 C.	<i>N. M. P. Szkapl.</i>	3 Jakynfta m.
17 P.	Aleksego W.	4 Andreja
18 S.	Szymona z Lipn.	5 Kyryła i Met.
19 N.	<b>7 po św.</b> Wincent.	6 <b>E. 6 po S.</b> Aftanaz.
20 P.	Czesława	7 Ftomy
21 W.	Praksedy	8 Prokopyja
22 S.	Marji Magdaleny	9 Pankratyja
23 C.	Apolinarego	10 S. 45 Mucz.
24 P.	Krystyny	11 Eufemji
25 S.	Jakóba apostoła	12 Prokła
26 N.	<b>8 po św.</b> Anny	13 <b>E. 7 po S. Sob. ś. H.</b>
27 P.	Natalji	14 Akyły ap.
28 W.	Innocentego	15 Kyryka
29 S.	Marty	16 Aftynohena
30 C.	Abdona i Senny	17 Martyny
31 P.	Ignacego Lojoli	18 Emvljana

Kaleudarz żydowski.

9. 17 Tamuz, Post Zdob. św. 22. 1 Aw. 30. 9 Aw, Post Zburz. św.

## Sierpień

Dnie tygodnia	Ś W I Ę T A	
	Rzymsko-katolickie	Grecko-katolickie
1 S.	Piotra w okowach	19 Makryny
2 N.	<b>9 po św. NPM. An.</b>	20 <b>E. 8 po S. Ilyi</b>
3 P.	Zn. św. Szczepana	21 Joana i Sym.
4 W.	Dominika w.	22 Maryi Mahd.
5 S.	N. M. P. Śnieżnej	23 Tryfoma
6 C.	Przemien. Pańskie	24 Chrystyny
7 P.	Kajetana	25 Usp. św. Anny
8 S.	Cvrjaka w.	26 Jermołaja
9 N.	<b>10 po św. Romana</b>	27 <b>E. 9 po S. Pantal.</b>
10 P.	Wawrzyńca	28 Prochora
11 W.	Zuzanny p.	29 Kałynyka
12 S.	Klary	30 Syły i Syljana
13 C.	Hipoliita	31 Jewdokima
14 P.	Euzebjusza m. † wig.	1 <b>Awh. Pr. ś. chr.</b>
15 S.	<b>Wniebowzięcie NMP.</b>	2 Stefana m.
16 N.	<b>11 po św. Jacka</b>	3 <b>E. 10 po św. Izaak.</b>
17 P.	Anastazego	4 7 Otok w Efer.
18 W.	Heleny kr.	5 Ewsychija
19 S.	Benigdy i Ludw.	6 <b>Preob. Hosp.</b>
20 C.	Stefana	7 Demetryja
21 P.	Joanny Frem.	8 Jemyłjana
22 S.	Tymoteusza	9 Mateja apost.
23 N.	<b>12 po św. Filipa</b>	10 <b>E. 11 po S. Ławr.</b>
24 P.	Bartłomieja	11 Jewpta
25 W.	Ludwika Kr.	12 Fotyja
26 S.	Zefiryny	13 Maksyma
27 C.	Przeniesienie św. †	14 Mycheja pr.
28 P.	Augustyna	15 <b>Uspenje Bohorod.</b>
29 S.	Ścięcie św. Jana	16 Obr. Hospod.
30 N.	<b>13 po św. Róży Iz.</b>	17 <b>E. 12 po S. Myrona</b>
31 P.	Rajmunda	18 Flora i Ławra

Kalendarz żydowski  
21. i Elul.

## Wrzesień

Dnie tygodnia	Ś W I Ę T A	
	Rzymsko-katolickie	Grecko-katolickie
1 W.	Izabeli i Idziego	19 Andreja
2 S.	Justa	20 Samuła
3 C.	Bronisławy	21 Tadeja
4 P.	Rozajji p.	22 Agatonika
5 S.	Wawrzyńca biskupa	23 Łupa
6 N.	<b>14 po św. Zacharj.</b>	24 <b>E 13 po S. Ewt.</b>
7 P.	Reginy	25 Warftołaneja
8 W.	<b>Narodzenie N. M. P.</b>	26 Adrijana
9 S.	Piotra Kl.	27 Primena
10 C.	Mikołaja z T.	28 Mojseja Awhust.
11 P.	Jacka, Prota	29 Usikł. hł. św. Iw.
12 S.	Gwidona W.	30 Aleksandra
13 N.	<b>15 po św. Im. NMP.</b>	31 <b>14 po S. Pot. PPB.</b>
14 P.	Podwyższenie św. K.	1 <b>Sept. Symeona</b>
15 W.	Nikodema m.	2 Mamanta m.
16 S.	Ludmiły † S. dni	3 Antyma
17 C.	Lamberta	4 Wawyły
18 P.	Tomasza † S. dni	5 Zacharyi
19 S.	Januarego † S. dni	6 Czudo arch.
20 N.	<b>16 po św. Eustach.</b>	7 <b>E. 15 po S. Sozant</b>
21 P.	Mateusza	8 <b>Rozdz. Bohorod.</b>
22 W.	Maurycego	9 Joakima
23 S.	Tekli	10 Myonodory
24 C.	Gerarda	11 Feodora
25 P.	Władysława z G.	12 Awtomona
26 S.	Cvprjana	13 Kornylja
27 N.	<b>17 po św. Kosm. i D.</b>	14 <b>E 16 po S Wozn. CK.</b>
28 P.	Wacława kr.	15 Nykity
29 W.	<b>Michała Archanioła</b>	16 Josafata
30 S.	Hieronima	18 Sofyji

Kalendarz żydowski.

13. 24 Elul 1 dz. Selichot. 19. 1 Tiszri Nowy Rok 5686. 20. 2 Tiszri  
2 dz. św. N. R. 28. 10 Tiszri Jom Kipur.

## Październik

Dnie tygodnia	Ś W I Ę T A	
	Rzymsko-katolickie	Grecko-katolickie
1 C.	Remigjusza	18 Efrema
2 P.	Otona	19 Tryfona
3 S.	Kandyda	20 Ewstachija m.
4 N.	<b>18 po św. NPM. Róż.</b>	21 <b>17 po S.</b> Konrada
5 P.	Placyda	22 Foky i Jony
6 W.	Brunona m.	23 Zacz. ś. Joana
7 S.	Justyny	24 Ftekły
8 C.	Brygidy	25 Ewfrosynji
9 P.	Djonizego	26 Joana Boh.
10 S.	Franciszka	27 Kałystrata
11 N.	<b>19 po św. Winc Kad</b>	28 <b>E. 18 po S.</b> Charyt.
12 P.	Maksymiljana	29 Kyrjaka
13 W.	Edwarda	30 Hryhorja Weł.
14 S.	Kaliksta	1 <b>Okt.</b> Pokr. B. H.
15 C.	Teresy i Jadwigi	2 Kyrprjana
16 P.	Gawła op. Ludmilv	3 Dyonizyja
17 S.	Lucyny Małgorz.	4 Jerofteja
18 N.	<b>20 po św. Łukasza</b>	5 <b>19 po S.</b> Charytyn.
19 P.	Piotra z Alkowy	6 Tomy ap.
20 W.	Felicjana biskupa	7 Terhja m.
21 S.	Urszuli p m.	8 Pełahji
22 C.	Korduli	9 Jakowa ap.
23 P.	Jana Kapistrana	10 Ewłampija
24 S.	Rafała archanioła	11 Fyłypa
25 N.	<b>21 po św. Jana Kant.</b>	12 <b>20 po św.</b> Andron.
26 P.	Ewarysta	13 Karpa
27 W.	Sabiny m.	14 Nazarja
28 S.	Tadeusza i Szym.	15 Łykyjana
29 C.	Narcyza	16 Lonhyna m.
30 P.	Klaudjusza	17 Osyji pr.
31 S.	Wolfganga bisk.	18 Łuky ap.

Kalendarz żydowski.  
 3. 15 Tiszri 1 dz. św. Szatasów. 4. 16 Tiszri 2 dz. św Sz. 9. 21 Tiszri  
 św. Palmowe. 10. 22 Tiszri Koniec św Szatasów. 11. 23 Tiszri Radość  
 z praw. 19. 1 Marcheszwan.

## Listopad

Dnie tygodnia	Ś W I Ę T A	
	Rzymsko-katolickie	Grecko-katolickie
1 <b>N.</b>	<b>22 po św. W. świętych</b>	19 <b>E. 21 po S. Joifa</b>
2 <b>P.</b>	<i>Dzień zaduszny</i>	20 Artemija
3 <b>W.</b>	Huberta	21 Ilarjona
4 <b>S.</b>	Karola	22 Awerhija
5 <b>C.</b>	Elżbiety, Emeryka	23 Jakowa ap.
6 <b>P.</b>	Leonarda	24 Arefty
7 <b>S.</b>	Herkulesa i Adolfa	25 Markijana
8 <b>N.</b>	<b>23 po św. Op. NMP.</b>	26 <b>E. 22 po S. Demetr.</b>
9 <b>P.</b>	Teodora	27 Nestora
10 <b>W.</b>	Andrzeja z A.	28 Terentyja
11 <b>S.</b>	Marcina b.	29 Anastazji
12 <b>C.</b>	Marcina	30 Zenona
13 <b>P.</b>	Stanisława Kostki	31 Stachija
14 <b>S.</b>	Jozafata	1 <b>Noj. Kosm. i D.</b>
15 <b>N.</b>	<b>24 po św. Leop.</b>	2 <b>E. 23 po S. Akind.</b>
16 <b>P.</b>	Edmunda, Otmara	3 Akepsyny
17 <b>W.</b>	Salomei p.	4 Joannyka pr.
18 <b>S.</b>	Otona	5 Hałaktjona
19 <b>C.</b>	Ireny	6 Pawła archan.
20 <b>P.</b>	Feliksa	7 Łazara
21 <b>S.</b>	Ofiarowanie NMP.	8 <b>Mychajła Arch.</b>
22 <b>N.</b>	<b>25 po św. Cecylji</b>	9 <b>E. 24 po S. Onysif</b>
23 <b>P.</b>	Klemensa	10 Erasta i Ołymp.
24 <b>W.</b>	Emilji i Jana	11 Myny m.
25 <b>S.</b>	Katarzyny p.	12 Jozafata
26 <b>C.</b>	Konrada	13 Joana Złotoust.
27 <b>P.</b>	Walerjana	14 Fyłypa ap.
28 <b>S.</b>	Krescentego	15 Huryja i Sams.
29 <b>N.</b>	<b>1 Adw. Saturnina</b>	16 <b>E. 25 po S. Maft.</b>
30 <b>P.</b>	Andrzeja	17 Hryhoryja ep.

Kalendarz żydowski.

18. 1 Kislew.

# Grudzień

Dnie tygodnia	Ś W I Ę T A	
	Rzymsko-katolickie	Grecko-katolickie
1 W.	Elihjusza b.	18 Płatona
2 S.	Bibjany	19 Awd ja
3 C.	Franciszka Ks.	20 Hryhoryja
4 P.	Barbary p.	21 <b>Wowed. Bohorod.</b>
5 S.	Sabby op.	22 Fyłymona ap.
6 N.	<b>2 Adw. Mikołaja b.</b>	23 <b>E. 26 po S. Amf.</b>
7 P.	Ambrożego † wig.	24 Kateryny
8 W.	<b>Niep. Pocz. NPM.</b>	25 Kłymenta
9 S.	Leokadji	26 Ałypa
10 C.	<i>NPM. Loretańskiej</i>	27 Jakowa
11 P.	Damazego p.	28 Stefana
12 S.	Aleksandra	29 Paramona
13 N.	<b>3 Adw. Lucji i Otylji</b>	30 <b>E. 27 po S. Andr.</b>
14 P.	Nikarego	1 <b>Dek. Nauma</b>
15 W.	Fortunata	2 Awakuma
16 S.	Adelajdy † S. dni	3 Sofonija
17 C.	Łazarza b.	4 Warwary
18 P.	Gracjana † S. dni	5 Sawy ep
19 S.	Nemezjusza † S. dni	6 <b>Nykołaja Czud.</b>
20 N.	<b>4 Adw. Teofila</b>	7 <b>E. 28 po S. Amw.</b>
21 P.	Tomasza	8 Patapia
22 W.	Zenona	9 <b>Zaczat. Boh.</b>
23 S.	Wiktorji	10 Myny Erm.
24 C.	Adama i Ewy † Wig.	11 Danyła
25 P.	<b>Narodz. Chrystusa P.</b>	12 Spirydyona
26 S.	<b>Szczepana Męcz.</b>	13 Ewhenija
27 N.	<b>1 po B. N. Jana Ew.</b>	14 <b>E. 27 po S. Ftyrsa</b>
28 P.	Młodzianków	15 Jelewterja
29 W.	Tomasza b.	16 Ahheja
30 S.	Dawida	17 Danyła
31 C.	Sylwestra p.	18 Sewasjyana

Kalendarz żydowski.

12. 25 Kislew 1 dz. Chanuka. 17. 1 Teiwot.



## Z Nowym Rokiem.

Oto idzie znów ręk nowy,  
Wychyla się z czasu toni ;  
Mądrość błyszczy z jego głowy,  
Laur nadziei ma na skroni.

Niesie z sobą różne dary  
Więc : zwyżkę naszej waluty,  
Niedostatku zwiewa mary,  
I dorobek niesie suty.

I wnet siłą młodej ręki  
Da paskarstwu zdrowe cięgi  
Zbawi nas od tej udręki  
Nie szczędząc pracy mitręgi.

Cóż więcej jeszcze dobrego  
Da nam krzepki ten młodzieniec,  
By na twarz człeka biednego  
Nowy szczęścia zszedł rumieniec.

Kalendarz ten oto nowy  
Pocięgła nam niesie w dani,  
W nim to znajdziesz humor zdrowy  
I w dodatku jeszcze tani.

On ci smutek z czoła spędzi,  
W życia smętnej tej szarzyźnie  
I radości ci nie szczędzi,  
Że zapomnisz o drożyźnie.

Kiedy żona przez dzień cały  
Klepie skargi ci do syta,  
By zapomniać o kłopotach  
Ten Kalendarz kup... i kwita.

Gdy dokucza ci teściowa,  
 Albo grozi ci redukcja,  
 Kiedy rozboli cię głowa,  
 Lub gdy męczy cię obstrukcja,

Kiedy nasi wciąż dostają  
 W sporcie fest od zagranicy,  
 Gdy ludzie o wojnie boją,  
 Gdy masz piekło w kamienicy,

Gdy gospodarz czynsz podnosi,  
 Gdy masz dosyć polityki,  
 Albo gdy cię gniew unosi,  
 Na zdzierstwa paskarskiej klikki,

Kiedy nie masz szczęścia w życiu,  
 Bo nie umiesz kraść, szachrować,  
 Gdy ci wróg szkodzi w ukryciu.  
 Ty to w kieszeń musisz schować,

Jednem słowem kiedy mroki  
 Smutku los w twej duszy skupił,  
 Radzę ci abyś bez zwłoki  
 Oto ten Kalendarz kupił.

Niech już na los nikt nie zrzędzi  
 I copędzej go kupuje,  
 On smutek z domu wypędzi  
 Wnet w nim radość zapanuje.

Święć się, święć się roku nowy!  
 Tajemnicy skryty chmurą  
 Przywitaj nas temi słowy:  
 Smutek precz a radość góraż!

„Pociągiciel”.



## TAJEMNICZY LIST.

— Może pani hrabina raczy napisać adres pana hrabiego w pułku?... Listonosz powiedział, iż przy drugiej poczcie tu wstąpi i listy pozabiera.

Alberta zawahała się i pochyliła się nad rozpostartą przed nią pocztą. Te zamknięte koperty, te krucho osłony tajemnicy przemawiają do jej doświadczonego oka aż nadto zrozumiale. Odróżnia cienkie, rozwlekłe pismo dostawców, rozpoznaje bilety przyjaciół na papierach listowych klubu; nawet wuj napisał list z izby postów.

— Oho! — myśli. — Wuj Honorjusz pisze do Henryka, nie wiedząc naturalnie, iż mój mąż powołany jest na dwa tygodnie do ćwiczeń wojskowych.

Szybkim ruchem pióra napisała na odwrotnej stronie koperty nowy adres swego męża, numer jego pułku.

Między innymi listami jeden zbudził jej ciekawość i ściągnął w zdradziecki sposób na siebie jej uwagę. Alberta zaczęła obracać długą kopertę na wszystkie strony, badała ostry, delikatny charakter pisma, obwąchiwała zapach papieru.

— Od kogo to może być? Przysiąc można, iż to kobiece pismo!

Stara się odczytać zatarty stempel pocztowy i odcyfrowuje słowa „Place des Vosges“.

W tej dzielnicy nie znamy nikogo — szepce do siebie i odwraca kopertę, aby zbadać jej odwrotną stronę. Zalepiona jest silnie, a jej palce z jakąś gorączkowością przesuwiają się po niej.

— Gdyby był tutaj, otworzylibyśmy go razem...

I myśl o jej pięknym życiu, pełnym wzajemnego zaufania, przebiega jej umysł lotem błyskawicy i wzmacnia ją i krzepi. Ale jego nieobecność, ta straszne nieobecność napawa ją gryzącą wątpliwością, ciekawością dowiedzenia się o wszystkim. Z przyćmionymi oczyma szepce do siebie:

— Nie widziałam nigdy, aby Henryk otrzymywał listy, adresowane takim charakterem pisma...

Nagle przypomina się jej, iż to on zawsze odbiera pocztę; może zatem, jeżeli mu na tem zależy, ukryć coś, co otrzymuje.

— Może częściej przychodzą takie listy, a ja o tem nic nie wiem!

Schmurzyła czoło.

— Może jeszcze trwa ta stara historia, która się rozgrywała przed naszym ślubem? Może jeszcze dziś utrzymuje korespondencję z panią de Lantosque?

Sądzi, iż dokładnie między palcami odczuwa tajemnicę, ukrywającą się w głębi tych istot, z którymi żyjemy, a które w gruncie rzeczy znamy tylko z przepuszczeń, wniosków i porównań.

Odczuwa to nagle, pojmuje, jak mało zna duszę swego męża, jak mało on do niej należy...

A powiedzieć sobie, że może trzyma w rękę rozwiązanie zagadki, że może być ukryte w tej delikatnej powłoce, za tym papierem, który drży w jej rękach!...

Wstrząsa głową, jakby z potrzeby mechanicznej, aby zatrzeć kalejdoskop jej myśli.

Szybkim ruchem macza pióro w kałamarzu, aby zaadresować list według jego nowego miejsca przeznaczenia... Ale jej ręka opada nagle... nie może dalej...

— Skoro ci oboje dają sobie w tym liście rendez-vous... gdybym ich tam spotkała... Trzeba mu było towarzyszyć...

A ten czworogranny papier wywiera magnetyczny jakiś wpływ na nią, jakby ją do siebie przyciągał. Nieświadomie palce jej objęły tę kopertę i rzuciły ją w ogień płonący na kominku. Płomienie rzuciły się chciwie na swoją zdobycz.

Alberta teraz dopiero nabrała całej świadomości swego czynu i wydała z siebie okrzyk przerażenia. Płomień ogarnął papier, wykręcił go w rozmaite strony, niszczył go powoli a skutecznie.

Pochyliła się naprzód i spoglądała w ogień z osłupieniem. Słowa, litery zataczały jakieś błędne koła, papier się wzdymał, pękał, rozpadał się w czarne płatki, po których snuły się ogniste wężyki. Alberta patrzyła w ogień, pochylała się coraz więcej, oczy jej zapełniły się gorącemi łzami.

Ach — szepnęła do siebie — teraz już go nie wydrę, już się nigdy nie dowiem, co zawierał.

Zbudziły się w niej jednocześnie: uczucie ulgi i uczucie żalu.

\* \* \*

Pociąg, zakreślający niewielki łuk, zdawał się rosnać w miarę przybliżania się. Alberta, znajdująca się na peronie, ujrzała w oknie twarz Henryka, odznaczającą się wyraźnie w ramach okna. Spojrzenia ich skrzyżowały się i przemówiły do siebie w milczeniu.

— Jak to pięknie z twojej strony, iż przybyłaś po mnie!

Miękki, wygodny powóz uniósł ich do zamku przez pusty, mroźny zimowy krajobraz.

Nagle przerwał jej Henryk i zapytał?

— Czy wysłałaś wszystkie listy, do mnie adresowane?

Przebiegł ją zimny dreszcz, zbladła i odparła z trudnością:

— Zapewne. Dlaczego się pytasz?

— Spodziewałem się jednego listu i nie mogę pojąć, dlaczego go nie otrzymałem.

Zagajnik, którego cienie wdarły się do otwartych szyb karety, przyćmił ich romowę; milczeli, może zdziwieni cokolwiek tem, iż nic sobie nie mają do powiedzenia. Droga prowadziła teraz przez gęsty las w dół, poczem wiała się w górę, a na ciemnym nieboskłoniu ukazały się zarysy zamku. Słońce miało się ku

zachodowi i ukrywało się za różnobarwnemi zwojami chmur.

Henryk spojrział na żonę i zaniepokoił się. Ręka jego poszukała jej aksamitnych palców, obejmujących rączkę parasolki, i uściśnął je.

— Co ci jest? Tak jakoś dziwnie wyglądasz...

— Ależ nie, nic mi nie jest..

Uczyniła wysiłek, aby ożywić rozmowę.

— Słyszałeś o zamożpójciu Walentyny? Wydaje się mniej świetnem, niż to z początku przypuszczano.

— Nie, niczego się nie dowiedziałem, a skądże mogłem się dowiedzieć, skoro nie otrzymywałem nawet tych listów, których się spodziewałem.

Alberta poczuła, iż serce jej dla niego chłodnie, iż jakiś wielki ból kładzie się między nią i niego.

Henryk udał się do swego gabinetu; szybkie spojrzenia Alberty badały jego twarz. Od tygodnia — po powrocie — czuje, iż nie jest tym samym, a gniewa ją, iż jest tak zamknięty w sobie. Rozdziela ich jakiś chłód, mimo obopólnych wysiłków, aby być takimi, jakimi byli poprzednio.

Henryk powiada od drzwi:

— Byłem przecież pewny swego, gdy powiedziałem, że nie wysłałaś mi wszystkich moich listów.

— Znowu ta historia tego zaginionego listu... Ależ to nie do zniesienia! Zależało ci zapewne bardzo na tym liście?

— Naturalnie. Patrz, Noirot, mój notariusz, jak ci wiadomo — pisze do mnie, iż daremnie oczekiwał odpowiedzi mojej na propozycję, którą mi zrobił może przed miesiącem. Wskutek tego nie mogę już liczyć na kupno hotelu przy bulwarze Wiktora Hugo, tego hotelu, który ci się tak bardzo podobał.

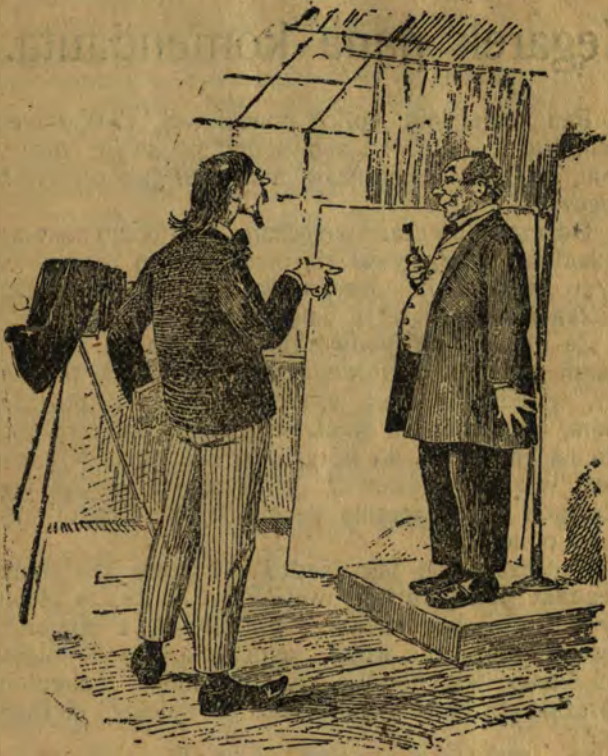
— Jakto? To był Noirot?

— Czy widziałas ten list? Taki list, jak ten?

Niebieskawa, długa koperta, ostry, delikatny charakter pisma zaczęły tańczyć przed oczyma Alberty.

— Mój drogi! — zawołała, łkając z radości — ale dlaczego twój notariusz posiada taki kobiecy charakter pisma!?

## U fotografa.



*Fotograf:* Jakto? Chce pan fotografować się z tym kluczem w ręku?

*Gość:* Tak, chcę choć w ten sposób pokazać się przed ludźmi, że jestem głową domu...



## Zegarek pana komendanta.

Pan komendant policji powiatowej, Cyrkułowicz, przechadzał się głęboko zamyślony po swym pustym pokoju, za który komornego nie płacił już od dwóch miesięcy.

Od czasu do czasu, zmęczony zbyt długo trwającą przechadzką, zatrzymywał się przed oknem i wzrokiem pełnym melancholji obserwował wieże sąsiedniego kościółka i zieleńjące w dali, za miasteczkiem lasy.

Za oknem, na podwórku pokrytem tu i ówdzie kupkami gnoju, nad którymi unosiły się lekkie poranne opary, w jednej z kałuż usadowiła się stara, poważna maciora, wraz z całym stadkiem prosiąt. Zwierzę podniosło na chwilę ryj do góry, w stronę okna, pograżony zaś w smutku człowiek wyczytał we wzroku jego współczucie... Łza zaperliła się mu w oku i cicho spłynęła po policzku.

Nad czym się tak biedził i o czym tak dumiał komendant policji powiatowej? Być może, w głowie snuły się mu wspomnienia z przeszłości, o minionem szczęściu, które nie wróci, a oczyma myśli widział jakieś boskie kształty Wenery, lub może rozogniona wyobraźnia przeniosła go gdzieś w dalekie, nieznane kraje?

Nie, Cyrkułowicz marzycielem wcale nie był — zawsze zimny rozsądek brał u niego górę nad innymi uczuciami.

W danej chwili, na przykład, nie przejmowało go ani trochę piękno budzącej się ze snu zimowego natury, ani cisza wiosennego poranka, gdyż zajęty on był układaniem swego budżetu za miesiąc ubiegły.



Wśród wielu innych osobliwości charakteru pana komendanta, była ta, iż gdy jak zwykle w końcu miesiąca pozostawał bez grosza, zaczynał wspominać, gdzie i co kupował, które wydatki były konieczne, a które nie, z powodu zaś, iż nigdy nie mógł wszystkiego dokładnie obliczyć, więc czuł się okradzionym, oszukany, lub też przekonany, że w tym czy owym sklepie, albo u znajomych zapomniał pieniądze, których mu potem nie zwrócono. Rozpoczynało się wówczas prawdziwe piekło domowe, szczególnie zaś w takich wypadkach cierpiał Krystyn, posterunkowy, wierny ordynans komendanta, często bezpodstawnie oskarżony, przez tego ostatniego o drobne kradzieże i doprowadzanie tym sposobem swego przełożonego i pana do ruiny.

W tym zaś dniu, gdy pan Cyrkułowicz, jak to nadmieniono wyżej, był tak zajęty obliczeniami matematycznymi, znajdował się on w przykrej sytuacji pod względem materialnym — należało opłacić komorne, obiady i t. d. załatwić zaś tych spraw nie mógł, z powodu braku gotówki. Według jego głębokiego przekonania, miał on pieniądze w jednej z kieszeni spodni, aż do czasu, gdy oddał swe ubranie Krystynowi, z poleceniem wyczyszczenia.

W chwili największej rozpacz, jednak, szczęśliwa myśl przyszła mu do głowy.

— Hej, Krystyn, wstawaj złodzieju! — wrzasnął z całych sił Cyrkułowicz.

W sąsiedniej kuchence ktoś się poruszył, ziewał, i po chwili kudłata głowa ordynansa ukazała się we drzwiach.

— W kryminale należałoby ci siedzieć, a nie służyć w policji, — rzekł nieco spokojniej Cyrkułowicz. — Przynieś, pijaku jeden, kuferek, który znajdziesz na strychu. Mam tam kilka relikwii rodzinnych.

Zdziwiony mocno tem poleceniem, a nie mając pojęcia w jakim celu pan komendant o tak wczesnej porze żąda przyniesienia mu kufereka, w którym miały się znajdować jakieś relikwie, Krystyn dostał się na strych po drabinie i w końcu, zakurzony i spocony stanął się do swego pana.

Przyniesione relikwie umieścił w kącie, sam zaś udał się do swej kuchenki.

Cyrkułowicz gorączkowo począł się grzebać w starych rupieciach, któremi kufer był wypełniony po brzegi, w końcu wyciągnął stamtąd olbrzymich rozmiarów staroświecki kieszonkowy zegarek. Sądząc po pokrywającej go rdzy i okuciu żelaznem po brzegach, sprzęt ten pochodził jeszcze z czasów, gdy zegarki były niezwykłą rzadkością i gdy nieliczni posiadacze takowych, pokazując je znajomym, wzbudzali ogólny podziw i zainteresowanie.

Odnalazłszy na dnie kuferka kluczyk, Cyrkułowicz popróbowwał zegarek nakręcić.

W pokoju rozległy się wówczas zgrzyty, szczęki jakieś i kałatania — możnaby było pomyśleć, iż we wnętrzu zegarka pokutuje jakiś duch potępiony.

Po chwili jedyna wskazówka zaczęła się obracać dokoła cyferblatu, drugiej zaś brakowało, gdyż takowa jeszcze przed kilkudziesięciu laty była odłamana i w ciągu długiego czasu używana do rżnięcia kur i klucia prosiaków.

Zegar ten w rodzie Cyrkułowiczów oddawna przechowywany był jako pamiątka, z którą związane wiele wspomnień o świetnej przeszłości, lecz kto z przodków nabył go i gdzie — tego nikt nie mógł ustalić.

Legenda rodzinna głosiła, iż jeden z przodków obecnego komendanta, św. pamięci Pankracy, był napadnięty, podczas podróży do Ziemi Świętej, przez 2-ch uzbrojonych w szpady bandytów. Znajdując się w tak wielkiem niebezpieczeństwie, Pankracy polecił życie swe Opatrzności boskiej i postanowił zginąć lepiej w nierównej walce, niż prosić o litość. Nie mając zaś żadnej broni przy sobie, wspomniął nagle o swym potężnych rozmiarów zegarku, wydobyl go z kieszeni, i w mgnieniu oka, jednemu z napastników łeb nim roztrzaskał. Widząc to drugi złoczyńca próbował zemknąć, lecz na nic to się zdało — ciężka maszyna, rzucana mściwą ręką, trafiła go niżej krzyża pacierzowego, raniąc ciężko i czyniąc niezdolnym do dalszej ucieczki.

Wypadek ten, w swoim czasie, był sensacją dnia i okrył dzielnego rycerza sławą nieśmiertelną.

Zegarek zaś, użyty jako broń biała i pocisk ręczny, zepsuł się i wciąż wymagał naprawy. Czasami śpieszył, czasami zaś opóźniał się na kilka godzin dziennie; częstokroć doprowadzało to do rozpaczki właścicieli jego, szczególnie zaś ucierpiał z tego powodu wnuk słynnego Pankracego, Jeremjasz, który niegdyś, wybierając się do ślubu, a mając się spotkać z narzeczoną i gośćmi weselnymi przed kościołem o godzinie 3-ej popołudniu, stawiał się na wyznaczone miejsce, lecz... o godzinie 12-tej w nocy. Naturalnie, że nie zastał tam nikogo. Widząc pustki na ulicy i kościół zamknięty, natychmiast pojechał on do domu swych przyszłych teściów, celem wytłumaczenia się i przeprosin. Nie pomogły jednak w tym wypadku ani prośby, ani składanie winy na otrzymany w spadku zegarek, a to głównie z tego powodu, iż narzeczona po kilkugodzinnem oczekiwaniu przed kościołem, postanowiła nie odkładać na później tak ważnej uroczystości, i wyszła zamąż za jednego z przyjaciół pana Jeremjasza, ten ostatni zaś przybył na wesele, gdy wszyscy goście, rozjeżdżając się już do domów, pili strzeżniennego za zdrowie państwa młodych.

Pankracy, Jeremjasz i inni przodkowie stanęli jak żywi przed oczami pana Cyrkułowicza, ten ostatni zaś, dopiero po długim wahaniu, zdecydował się — zawołał Krystyna i polecił mu zegarek spieniężyć.

Ciężki los urzędnika państwowego! Od pierwszego do piętnastego każdego miesiąca jeszcze jakoś wiąże się koniec z końcem, ale od środka miesiąca żyje się jak Bóg da, w oczekiwaniu gaży.

Cyrkułowicz, będąc gorącym patriotą, łapówek nie przyjmował i szwindłami się nie trudnił, więc patrzył zwykle z zazdrością na bogatych paskarzy noszących nowe buty i ubrania z igiełki, ale widział też w nich ludzi, którzy niezadługo, z chwilą sanacji skarbu, mają pójść z torbami.

Wkrótce po pierwszym, w oczekiwaniu dodatku kresowego, Cyrkułowicz z otrzymanej gaży kupił sobie

nowe spodnie, stare zaś sprzedał handlarzowi, uważając, iż w okresie sanacyjnym nie stać go na dwie pary.

Dopiero w środku miesiąca, dowiedziawszy się, iż dodatek ten ma zostać użyty na budowę domków urzędniczych, Cyrkułowicz przekonał się, jak wielkie głupstwo popełnił. Coprawda, cieszyło go, że być może, niezadługo będzie miał wygodne skarbowe mieszkanie zamiast zimnego i wilgotnego pokoju, lecz też żałował i nowych spodni, które wobec takiej sytuacji należało spieniężyć, mniej więcej, na dziesięć dni przed pierwszym.

Tymczasem zaś, z niecierpliwości oczekiwał Krystyna.

Wkrótce ten się zjawił z tryumfującą miną.

— Panie komendancie, oświadczył, zegara nikt nie chciał kupić, więc urządziłem loteryję. Sam starosta wziął 2 bilety, urzędnicy też brali, ale wygrał nasz, posterunkowy Józek!

— Coś zrobił łajdaku! krzyknął Cyrkułowicz. — Zawsze cię miałem za durnia, ale nie myślałem żeś idjota! Brakuje tylko tego, żeby się kto dowiedział, że to mój zegar...

— Ale wiedzą już wszyscy, przerwał Krystyn, przecież nikt nie chciał kupować biletów, aż póki nie powiedziałem, że to się rozegrywa pana komendanta zegar!

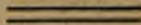
Słyszając to, Cyrkułowicz aż za głowę się schwycił.

— Jutro cię wyszlę na posterunek! wrzasnął. — A teraz wynoś się, żebym cię nie widział więcej!

I znowu pan Cyrkułowicz stanął koło okna i rozmyślał nad swym losem, spoglądając na pokryte gnojem podwórko i wieże sąsiedniego kościółka.

Z kuchenki zaś, w ciągu długiego czasu, słychać było narzekania Krystyna na niewdzięczność ludzką.

B — — i



**W pułapce.**

On: Wierzę tylko w to, co widzę na własne  
oczy.

Ona: A rozum swój pan widziałeś?

On: No, nie.

Ona: To i w jego istnienie zapewne pan nie  
wierzy?

## *Ballada rycerska.*

Już słońce zapada. Na dolinach noc  
 Złowrogie zaczyna snuć cienie.  
 Kto pędzi po błoniu, aż zziął się koń?  
 Jak widmo kto pędzi szalenie?

To młody starościc, podczaszego wnuk...  
 Szmata drogi przed sobą ma duży,  
 Więc pędzi jak szatan, siłą piekła gnan,  
 Jak wichur, wystrzelon wśród burzy.

Twarz ogniem mu pała, z wichrem fruwa płaszcz,  
 I grzywa rumaka rozwiana,  
 Od ostróg z bachmata aż toczy się krew,  
 A biała okrywa go piana!...

Czy zdoła dolecieć? Czy zdąży na czas?...  
 Ha?... dopadł do zamku nareszcie!..  
 „Otwierać pacholcy!“ zwodzony padł most —  
 „Do stajni mi konia zabierzcie!“

Nadążył szczęśliwie! bigosu się woń  
 Aż tutaj do nozdrz jego szerzy...  
 Godzinka spóźnienia — a napewne dziś  
 Już nie byłby dostał wieczerzy!





## STARY GRENADJER.

Księżna d'Angouleme przebyła trzy dni w Avignon. Ponieważ na drugi dzień jej pobytu przypadła niedziela, udała się więc pieszo z prefektury do kościoła d'Agricol.

Zapał tłumu był niezmierny — setki białych chustek powiewało w oknach, a tysiące ludzi tłoczyło się w ulicach, któremi księżna przechodzić miała.

Wśród hucznych okrzyków tłumu, nagle na rogu placu Petite-Fusterie rozległ się odosobniony głos:

— Niech żyje cesarz!

Obecni z oburzeniem odwrócili się w tę stronę. Człowiek, który wydał ten okrzyk, nie próbował uciekać, ani nawet nie starał się ukryć. Był to inwalida, stary sierżant gwardji cesarskiej, Jan Boncard.

Kilku zacieklej rojalistów rzuciło się na inwalidę. Wszczęła się zacięta bójka, podczas której mundur starca poszarpano, a kapelusz spadł mu na ziemię i odsłonił czaszkę łysą, a błyszczącą jak kula z kości słoniowej, tak białą, iż dziwnie odbijała od ogorzałego, spalonego na słońcu pergaminowego oblicza. Wielka, szeroka szrama przerzynała skórę na czole i sięgała aż do końca ust; prócz tego brakowało mu u prawej ręki trzech palców.

Ta żywa rana lepiej niż najwymowniejsze frazesy umiała opowiadać o wyprawie do Egiptu, do Hiszpanji, o krwawych bitwach pod Jeną i pod Wagram i o strasznym odrocie z pod Moskwy.

Gdy walka stawała się już niebezpieczną dla starego grenadjera, księżna kazała zatrzymać go, gdyż po

nabożeństwie chciała z nim pomówić. Rozkaz spełniono. W godzinę potem żołnierz Napoleona stanął przed księżną.

— Więc to wy — odezwała się łagodnie — mój dzielny sierżancie, wołaliście: „Niech żyje cesarz!“ ?

Sierżant milczał.

— Czy wiecie — mówiła dalej z tą samą łagodnością — że ten okrzyk nie ma już żadnego znaczenia? Wasz cesarz umarł już przed rokiem.

Żołnierz milczał dalej.

— Macie rodzinę? — pytała dalej uprzejmie księżna.

— Mam siostrę wdowę — odpowiedział, ociągając się, inwalida, a widocznem było, iż niespodziewane zajęcie się nim księżnej wywarło na nim silne wrażenie.

— Wasza siostra ma dzieci? — pytała dalej.

— Miała dwóch synów. Jeden zginął pod Lipskiem, a drugi pod Waterloo.

— Widzicie, my nie wymagamy, aby ktoś dla nas ginął.

Stodycz i niewysłowiony urok kobiety widocznie go przygnębiały, schylona postać wyprostowała się dumnie, odzyskał znów swoją imponującą postawę.

— Przepraszam, jednemu odebraliście życie! — rzekł Jan Boncard.

— Czy tak? — zapytała księżna, drżąc na całym ciele. — I komuż to takiemu? Może macie na myśli Napoleona Bonapartego?

— Nie, nie, pani! Mówię o moim generale, o moim marszałku, o Michale Neyu!

Księżna pobladła.

— Marszałek był zdrajcą! — zawołała z uniesieniem. — Przyrzekł mojemu wujowi, królowi, iż Napoleona...

— Być może — odparł spokojnie sierżant — ale on mnie i wielu innym ocalił życie!

— Gdzie? Kiedy? Jak? — pytała szybko księżna.

— Było to podczas strasznego odwrotu, który mnie uczynił tem, czem dziś jestem. Gdyby nie mój marszałek, nikt z naszej gwardji nie byłby już zoba-



**Złośliwie.**

O n a : Gdy tak na pana patrzę, przypomina mi się zawsze jeden z wielkich uczonych...

O n : Bardzo to dla mnie pochlebnie. A który to?

O n a : Darwin.

czył naszej ukochanej Francji. Było nas z początku 400.000.. Tam zostało nas zaledwie tysiąc, na połę zagłodzonych, bez ubrania, okrytych ranami.. To już nie byli ludzie, lecz raczej chodzące szkielety... z odziębionymi i zeszywniałymi nogami... lód załamywał się pod naszymi stopami... Murat, królowie, marszałkowie, generałowie — wszyscy potracili głowy i przytomność. Padłem na zaspę śniegu. Czułem, że zapadam w ciężki sen, z którego już niema przebudzenia. Wtedy zbliżył się mój marszałek, podniósł mnie własnymi rękami, przywrócił mi przytomności i ocalił mi życie!

W oku księżnej zabłysła łza, tak ją wzruszyło porywające i przekonujące prawdą i zwięzłością opowiadanie starego grenadjera.

— Janie Boncard — odezwała się — nie mam chyba potrzeby zapewniać was, że okrzyk wasz nie będzie miał dla was żadnych złych następstw. Lecz nie róbcie tego więcej, a ja natomiast zwalnięm was od wołania: „Niech żyje król!”. Jak się nazywa wasza siostra?

— Magdalena Riou.

— Uboga?

— I bardzo nawet uboga!

— Oddajcie jej to w mojem imieniu — rzekła księżna, podając mu ciężką sakiewkę — i powiedzcie jej, że będę o niej pamiętała.

Sierżant po tych słowach skłonił się i wyszedł.

Jan Boncard nie był nigdy wstrzemięźliwym, a od czasu rozmowy z księżną zaszła w nim jakaś nadzwyczajna zmiana: zaczął mieć coraz większe pragnienie.

Zbliżał się dzień 25 sierpnia, dzień imienin królewskich.

— Zobaczycie mnie, usłyszycie mnie! — mawiał Boncard do swych kolegów i do generała.

— No, no — uspokajał go generał. — Za daleko się posuwasz, Boncard. Już oddawna ci przebaczone. Po co się kłopotujesz o dobro króla? Przechodzisz z jednej ostateczności w drugą.

Stary uparciuch nie dał się zbić z tropu.

— Zobaczą mnie! Zobaczą, co to jest Jan Boncard, sierżant gwardji cesarskiej!

Nadszedł dzień 25 sierpnia. Starzy rębacze siedzieli przy stołach i pilnie zaglądali do kielichów. Przy jednym stole przewodniczył Boncard siedmiu innym inwalidom, którzy razem mieli dziesięć rąk i jedenaście nóg.

Sierżant pił bardzo wiele. Kiedy podano deser, wstał i jednym haustem wychylił dzban ciężkiego wina Chateau-Neuf.

— To za zdrowie cesarza!

Następnie zaraz wydobyl z pod munduru butelkę wódki, przyłożył ją do ust i wychylił do dna.

— Niech żyje ce... nie, nie, niech żyje król, niech żyje księżna!... — zawołał.

Jan Boncard padł trupem na miejscu.



### Długi język.

Porucznik posyła swego ordynansa z bukietem do narzeczonej.

— Ach, jakie śliczne kwiaty! — woła zachwycona panienska, dając suty napiwek ordynansie.

— Tak jest, proszę pani, to jest najpiękniejszy bukiet ze wszystkich, które dziś roznosiłem.

### Wielbiciele.

— Wiesz, wczoraj po Aidzie wyprzęgła mi publiczność konie z powozu i sama ciągnęła do domu.

— E to jeszcze nic! Mnie przed miesiącem odśrubowano motor z auta, a że potem nie mogli je dociągnąć, musiałem pieszo wrócić do domu.



## POSYŁAM BUKIET.

— Kochana pani, dziś mogę to pani opowiedzieć. Było to przed wielu laty. Czas złagodził do pewnego stopnia tę hańbę. Przeszłość zaciera surowe zarysy bolesnych i hańbiących wydarzeń... Tak, dziś mogę to pani opowiedzieć, a to wspomnienie sprawi mi, jeżeli już nie wzruszenie, to przynajmniej zadowolenie z uczciwej i oswoadzającej spowiedzi!

„Przyjaciel mój był wdowcem; dokładniej mówiąc, zaczął się starać na nowo — ale mniejsza o te szczegóły... nie stoją one w żadnym związku z moją hańbą. Bernard ożenił się. Ślub brał w środę, a teść wydał ucztę weselną, na którą mnie naturalnie nie zaproszono. W takich sprawach nie miałem nigdy szczęścia. Bernard ożenił się w środę, a ja uważałem za stosowne posłać mu we wtorek wieczorem bukiet, bukiet za pięć guldenów. Ceny tej nie zapomnę nigdy, choćbym miał dożyć stu lat. Zamówiłem więc bukiet. Zamówienie przyjęto, a handlarz kwiatów nie żądał zapłaty. Nie zapłaciłem. Byłem przyjemnie zdziwiony. Kredyt jest zawsze rzeczą pocieszającą. W ładnych literach wypisałem nazwisko i adres odbierającego, który nazajutrz miał zostać teściem. Ulica Książęca O... i prosiłem ogrodnika, aby bukiet odesłał nazajutrz rano punktualnie o dziesiątej do domu narzeczonej mego przyjaciela.

A nazajutrz rano przekonałem się osobiście, iż bukiet został doręczony. Teść z ulicy Książęcej, panna młoda z ulicy Książęcej i mój przyjaciel podziękowali mi kolejno za piękny bukiet, którym sam się zachwycałem. Bukiet mój przedstawiał się okazale i nie nale-

żał do najgorszych. Bukiet mój można było oglądać. Teść z ulicy Książęcej — zapewne celem naprawienia błędu, iż nie dostałem zaproszenia na ucztę weselną — zaprosił mnie, abym kiedy do nich zaszedł. Uczyniłem to. Bardzo przyjemni ludzie. Nie mogę inaczej powiedzieć, jak tylko, iż w domu ich spędzałem bardzo przyjemne godziny.

W dwa tygodnie po weselu zbudził mnie rano ten przeklęty dzwonek. Otworzyłem z całym spokojem.

— Proszę pana...

— Dobrze, dobrze, przyjdź pan na przyszły tydzień...

— Ale to taka daleka droga...

Można sobie wyobrazić, iż komuś, kto po raz pierwszy odchodzi z niczem mimo pokwitowanego rachunku, droga wydaje się daleką. Taktycznie jest to błąd. Psychologicznie olbrzymi błąd. W danych okolicznościach podobna skarga mogłaby wzruszyć sumienie dłużnika — po raz pierwszy jednak nigdy.

Po upływie tygodnia nieznośny dzwonek odezwał się znowu — to znaczy odezwał się, mówiąc dokładniej, ponieważ pociągnęła zań ręka chłopca sklepowego. W owych czasach ciągnięto za dzwonek nawet dość często.

— Pan sobie życzy?

— Przychodzę od ogrodnika...

— Od jakiego ogrodnika? Co to za ogrodnik?

Zdaje się, iż wśród danych okoliczności wygłaszamy najgłośniejsze rzeczy, w dodatku jękając się. Kiedyż nareszcie podobne wzruszenia opracowane będą analitycznie? Byłoby bardzo zajmującym, gdyby jakiś pierwszorzędny psycholog wygłosił coś na temat psychologii niedźwiedzia Co do mnie — zauważyłem, iż człowiek w podobnym położeniu reaguje bezpośrednio na rzecz nieznaną i nieświadomą, że znajduje się w stanie, bardzo spokrewnionym z snem i że zawsze wygłasza bezmyślne słowa, których sobie później nawet przypomnieć nie może.

Chłopiec poinformował mnie natychmiast.

— Ogrodnik, który posyłał bukiet na ulicę Książęcą... pan już wie...

— Ach tak — odparłem spokojnie — zaidź pan do mnie przy sposobności, gdy pan będzie w tych stronach.

— Nie bywam nigdy w tych stronach, a pryncypał powiedział..

— Tak, tak, już dobrze... nie masz pan też potrzeby zachodzenia specjalnie do mnie, mnie się nie spieszy. Powiedz pan, że sam tam przyjdę...-

Dałem chłopcu cygaro. Pożegnał mnie uprzejmie i poszedł.

Po upływie tygodnia przyszedł znowu.

— Pan sobie życzy?

To było znowu jedno z tych niczem nieusprawiedliwionych pytań.

— Pozdrowienie od mego pryncypała i...

Więcej nie powiedział. Ręka jego, która trzymała monetę, zrobiła swoje. I na nowo dziwiłem się szczególnej uprzejmości naszych czasów, uprzejmości, graniczącej niemal z zuchwałością. Człowiekowi, któremu się ustawicznie puszcza dzwonek w ruch, nie zasyła się pozdrowienia. Istnieje w życiu tyle wstrętnych przeciwnieństw, że nie potrzeba ich wywoływać umyślnie.

— Posłuchaj pan — rzekłem. — Przedewszystkiem nie zapomnij pan podziękować swemu pryncypałowi za pozdrowienie i powiedz mu pan, iż nie jestem przyzwyczajony do takiego braku zaufania. A tu masz pan coś.

Była to ostatnia moja moneta. W istocie jestto praktyczna metoda. W Holandji są chłopcy sklepowi i służba przekupni. Za cygaro lub grosz zdradzą z najprzyjemniejszą na świecie miną swego pryncypała. Wyjątków niema. Przy pomocy taktycznie użytych napiwków ma się zawsze spokój. Jestto system, który nigdy nie zawodzi, a który po bogatym doświadczeniu każdemu śmiało polecić mogę.

Chłopiec sklepowy wytrzymał tę próbę świetnie.

— Dziękuje panu — rzekł. — Kiedy pan sobie życzy, abym przyszedł?

— No, podwiedzmy tak za miesiąc — odparłem.

Poszedł i przez cały tydzień się nie pokazał. Może wabił go nowy napiwek. Znałem chłopców sklepowych, którzy z tym systemem prowadzili nadużycia, którzy naciągali pryncypała i obdzierali klienta. Każdy system ma swoje złe strony. Ale skandalu na wszelki wypadek unika się bezwarunkowo. A sąsiadom nie daje się widowiska.

Dałem chłopcu sklepowemu znowu grosz.

— Powiem tylko pryncypałowi, że pan wyjechał.

Było to z jego strony uprzejmem i inteligentnem. A ja nie starałem się wcale wytłumaczyć mu przewrotności w jego postępowaniu.

Poszedł. Odchodził jeszcze wiele razy. W ten sposób zapłaciłem przynajmniej guldena procentu za bukiet weselny, gdyż byłem zanadto lekkomyślny czy niedbały, aby mieć w pogotowiu zawsze całą należytość za bukiet.

Znałem już chłopca po sposobie jego dzwonienia. Każdy ptak śpiewa tak, jak dziób urósł, każdy niedźwiedź, w jakim jest humorze. Aż wreszcie stała się katastrofa.

Pewnego dnia zadzwoniono inaczej.

Otworzyłem. Przedemną stał jakiś jegomość z pokwitowanym rachunkiem.

— Proszę — rzekł.

— Pana Falklanda niema w domu — odparłem.

— Czyż pan nie jesteś panem Falklandem?

— Nie. Falkland jest moim bratem.

— Tak, to możliwe, ale naposyłałem się już dość.

— Brat mój z pewnością odeszle panu należytość.

— Nie, nie odejdę stąd bez pieniędzy.

Ustawił nogę między drzwiami a progiem.

— Czynisz pan coś, co jest karygodnem — rzekłem. Zdajesz się pan zapominać o tem, iż w tej chwili stajesz się pan winnym naruszenia spokoju domowego.

Trzymał dalej nogę z uporem.

A ponieważ byłem zdania, iż taka pozycja musi być dla niego bardzo niewygodna, wzięłem krzesło

i podałem je mu z prośbą, aby sobie usiadł, skoro już chce koniecznie pozostać na moim kurytarzu.

Człowiek ten był w wysokim stopniu przyzwyczajony. Poszedł bez skandalu, zapaliwszy sobie przedtem cygaro.

Oni wszyscy palą.

W dwa dni potem dorwałem się do kapitału, a ożywiony uczuciem skruchy udałem się do ogrodnika. Nie było go w sklepie, czuwał w nim tylko chłopiec.

— Ma pan może mój pokwitowany rachunek?

— Nie panie — odparł zdumiony — już zapłacony.

— Co pan powiada?

— Właśnie dziś rano...

Zacząłem się dowiadywać bliższych szczegółów. Nie wiedział nic więcej. Wypadek ten wprowadził mnie w zdumienie. Nie żyjemy już w bajecznych czasach: kto mógł się tak zajmować moimi długami?

Chłopiec sklepowy otrzymał ostatni swój grosz, zasmucony tylko był, iż stracił tak dobrego klienta. Poszedłem. Gdy powróciłem po południu do domu, znalazłem list, a w nim wiadomy kwit. List brzmiał:

„Szanowny panie! Gdy znowu która z moich córek będzie wychodziła zamąż, pragnę, abys pan sobie oszczędził trudu przysyłania mi bukietu.“

Był to teść z ulicy Książęcej. Ogrodnik przedstawił mu pokwitowany rachunek.

Na poły złamany padłem na najbliższe krzesło. Przez kilka tygodni byłem do niczego zupełnie. Teraz, gdy mój przyjaciel, Bernard de Bon, spodziewa się trzeciego potomka... odważyłem się dopiero na opowiedzenie tej haniebnej historii z czasów mej młodości.





## W prowincjonalnym teatrze.



— Panie dyrektorze! Jakto? Na afiszach ogłaszacie: „Romeo i Julja“ a dajecie „Wesołą wdówkę“?

— Niech pani posłucha! To nie nasza wina. Bo drukarnia nie daje nam nowych afiszów, dopóki za stare nie zapłacimy...



# Myśli.

— Można inaczej myśleć w swoich czasach, ale nie można się inaczej ubierać.

— Raz zerwane stosunki nie dadzą się nigdy dobrze nawiązać. Węzeł zresztą psuje tkaninę.

— W starości jesteśmy daleko przystępniejsi dla pochlebstw, niż w młodości.

— Niech dla kobiety pozostanie ostatnie słowo, byle dla mężczyzny pozostał ostatni czyn.

— Jeżeli serce ucieka razem z rozumem — zwykle nie zabiera z sobą wiele z niego.

— Wielu ludzi jest tak poświęcających się, iż poświęcają nawet swoje ideały, aby tylko dowieść dzielności swego... przekonania.

— Przyjaźń kobieca jest rzadko kiedy prawdziwej barwy; skoro jednak przetrwała pierwsze pranie, staje się niezniszczalną.

— Robienie kariery podobne jest do jazdy balonem: im wyżej się wznosi, tem więcej trzeba wyrzucać balastu.

— Mówią, iż życie jest snem. W istocie, wielu ludzi śni, ale wielu śpi tylko.

— Uczeni zapewnniają, że te organa, którymi się najczęściej posługujemy, rozwijają się najlepiej. Tem się tłumaczy, dlaczego serce nasze tak mało czuje, a głowa tak mało myśli.

— Biblia opowiada, iż Pan Bóg stworzył człowieka z bryły gliny. Ale z pewnością przedtem deszcz padał i zamiast ziemi zebrał Stwórca... błoto.

— Powodzenie u ludzi  
Zazdrość, nienawiść budzi,

— Panna lekkomyślna, oddana kochankom,  
A jak tych zabraknie — to różnym gałgankom.

— Ludzie słuchają bacznie,  
O kim mówią dwuznacznie.

— Kredyt wielce rzecz zwodnicza,  
Przy nim człek się nie obicza.

\* \* \*

— W małżeństwie każde zwycięstwo, które odnosi jedna lub druga strona, oznacza tylko klęskę pozycia domowego.

— Niewielu ludziom wystarcza samo posiadanie jako takie; pragną oni jeszcze, aby im go zazdrozczono.

— Jest coś pięknego w szczerości dobrych przyjaciół. Szkoda tylko, że tak często staje się ona... grubaństwem.

— Kto za wiele mówi o swoich uczuciach, ten ich najczęściej nie odczuwa wcale.


— Niejednemu los rzuca bogate dary szczęścia, a jednak odmawia mu jednego: zdolności używania ich.

— Sobkowi nie podoba się dobro, które mu się wyświadcza. Jakżeby mógł je pojąć, iż można dawać, nie żądając za to w zamian nic?

— Pierwsza miłość jest niejako tylko generalną próbą serca, ale — jak ta — często więcej zajmującą, niż właściwe przedstawienie.

— Istnieją tak zwane natury estetyczne, które raczej wybaczą niski czyn, niż brzydkie słowo.





## Rumieniec wstydu go ocalił.

Przez wieś szedł obdarty, młody jeszcze włóczęga. Z głową pochyloną ku ziemi, podpierając się grubym sękatym kijem, zdawał się być bardzo znużonym. Od czasu do czasu przystawał, oglądał się trwożnie poza siebie, jak gdyby obawiał się pościgu. Za wsią ujrzał bielącą się przy drodze plebanję, przyspieszył teraz kroku, stanął przy niej i namyślał się czegoś. Już miał do drzwi zapukać, gdy drzwi się z wewnątrz otwały i wyszedł staruszek, ksiądz proboszcz. Na widok włóczęgi nie zmieształ się wcale, owszem, twarz jego przybrała dobrotliwy wygląd.

Czego żądasz tu człowieku? — spytał staruszek łagodnie.

Włóczęga popatrzył z podębna na księdza, zdjął niedbale kapelusze z głowy i rzekł:

— Głodny jestem, księżę proboszczu. Od wczoraj nic w pysku jeszcze nie miałem. Może ksiądz proboszcz da mi choć chleba kawałek..

— Głodny?... Taki młody i zdrowy człowiek żebrać się nie wstydzi?... Ale cóż robić? Chodź do środka, dam ci się pożywić.

To mówiąc, ksiądz, zaprowadził włóczęgę do swego pokoju, kazał mu usiąść na krześle, sam zaś podreptał do kuchni. Za kilka minut postawiła kucharka przed nim głęboki talerz jakiejś zupy, na drugim talerzu leżał duży kawał mięsa i kawał chleba. Przez cały czas jedzenia, staruszek patrzył na obdartusa, kiwając smutnie głową, a gdy ten już wszystko z talerzy wyprzątał, spytał go łagodnie:

— Jak widzę, to ci smakowało ; możeś jeszcze głodny, to powiedz, a dam ci jeszcze czegoś ?

— Dziękuję bardzo księdzu proboszczowi, na dziś mi wystarczy. Jeśli jednak ksiądz tak łaskawy, to proszę o kawał chleba na jutro. Czy ja wiem, czy jutro lub pojutrze znajdę taką duszę, która mnie tak jak ksiądz proboszcz, posili.. Ludzie mnie się boją, pędzą od swoich zagród... i dobrze czynią, bo ja, księżę proboszczu, jestem złodziejem..

— Złodziejem ? — zdziwił się ksiądz,

— Tak jest księżę ! Jestem złodziejem, nierobą, ale przytem bardzo, a bardzo nieszczęśliwym...

— To źle, to bardzo źle ! — mówił ksiądz łagodnie. — A nie możesz się powstrzymać od tego złego nałogu ? Trzeba się udać o pomoc do Boga, modlić się...

— Kiedy ja już i modlić się zapomniałem, straciłem wiarę do wszystkiego, żyję z dnia na dzień i czekam tej chwili rozpacz, w której się powieszę, lub utopię...

— Nie mów tak ! — przerwał mu ksiądz surowo — Nie wolno człowiekowi życia się pozbawiać, choćby mu jaknajwięcej ciążyło, bo ono — kto to wiedzieć może — przydać się może jeszcze komu... Ale wyznaj mi człowieku, co cię spowodowało do nieszczęścia tego ?

— Długa to historia, księżę proboszczu, i nie z ochotą o niej wspominam. Powiem tylko krótko : przez złe towarzystwo i karty, utraciłem świetną posadę, straciłem honor, ambicję i sławę ucziwego człowieka. Już lat 12 czołgam się w tem błocie, z którego myślę, niema już siły aby mnie wy dostała...

— Bóg jest dobry, zaufaj Mu, popraw się, weź się do pracy, a będziesz widział, że ci będzie przyjemniej jak teraz, żyć na świecie.

Zmrok już zapadł. Włóczęga powstał z krzesła i gotował się do wyjścia.

— A masz ty człowieku, gdzie przespać ? — spytał go ksiądz na odchodnem.

— Mam, księżu proboszczu! W którymkolwiek gąszczu drzew położę się, a to mi wystarcza...

— Ależ tak nie można! Noc będzie chłodna, ot, wiesz co? przenocuj tu dziś u mnie, a jutro rano będziesz mógł już odejść.

Przystał na to włóczęga. Proboszcz kazał mu pościelić na sofie w tym samym, co on pokoju, a gdy już nasłuchał się dosyć opowiadań jego, położyli się obaj do snu.

Włóczęga usnął prędko, proboszcz jednak dziś usnąć nie mógł. Żał mu było tego młodego nieszczęśliwego człowieka, tarzającego się w pyle zbrodni i występków.

Już dobrze po północy zasnął także i staruszek.

\* \* \*

Słońce dopiero wschodzić zaczęło, gdy się zbudził włóczęga. Rozglądnął się po pokoju i ujrzał na krześle obok łóżka księdza, piękną złotą tabakierkę, na stole zaś spostrzegł kilka srebrnych noży i widelców, jakie zostały po wczorajszej wieczerzy. Długo walczył zło-dziej ze sobą czy ma to ukraść, jednak zły nałóg przewyciężył go. Po cichu zabrał łyżki, widelce i tabakierkę, schował do kieszeni i otworzywszy okno, wyszedł niepostrzeżenie.

Nie miał jednak dziś powodzenia w swoim niecnem rzemiośle, bo ledwie uszedł kilkadziesiąt kroków, zobaczył z przeciwległej strony kroczących ku niemu dwóch żandarmów. Uciekać było już zapóźno, dlatego spróbował jeszcze wykrętu. Pochylił się do ziemi, niby jaki żebrak, począł sztylukać na nogę i kto wie czyby się mu nie udało przejść mimo żandarmów, gdyby nie łyżka, jaką trzymał w kieszeni. Ona to kilka kroków przed żandarmami wysunęła się z podartej kieszeni i upadła na ziemię. Przystanęli żandarmi poczęli go wypytywać, a gdy im powiedział gdzie był, sprowadzili go napowrót do księdza proboszcza.

Staruszek już nie spał, ubrany w szlafroku, spacerował po pokoju. Na pukanie żandarmów, otworzył

**Elegantka.**

Posługaczka (patrzac do lustra): To dziwne!  
Jaki tylko kapelusz ubiorę na głowę, to w każdym mi  
dobrze do twarzy!

drzwi do pokoju i wpuścił ich wraz z złodziejem do środka, pytając czego żądają?

— Czy ten człowiek nocował tu u księdza proboszcza — spytał żandarm.

— Tak jest.

— A czy nie zginęły księdzu jakieś srebrne łyżki i widelce?

W tej chwili proboszcz spojrział w oczy złodziejowi i zauważył że całą jego twarz okrył rumieniec wstydu. Ten rumieniec u złodzieja spodobał się księdzu, bo odpowiedział:

— Te łyżki, widelce i złotą tabakierkę podarowałem temu nieszczęśliwemu człowiekowi. Proszę tu to oddać, bo to jest jego własnością!

Żandarmi uwierzyli i odeszli w tej chwili, złodziej zaś po ich odejściu, rzucił się do nóg księdzu i z płaczem począł go przepraszać:

— Daruj mi księże proboszczu! — Już nigdy w życiu nie spodję się kradzieżą! Twój dobry uczynek uczynił mnie już innym człowiekiem! Od dziś będę się starał zapanować nad moim złym nałogiem.

Położył na stole ukradzione rzeczy, ucałował księdzu ręce i wyszedł z pokoju.

— Pamiętaj człowieku coś mi przyrzekł! Będę się modlił, aby Bóg przebaczył ci wszystko! — rzekł mu ksiądz na odchodnem.

Wyszedłszy na drogę włóczęga, odrzucił od siebie swój kij sękaty, wyprostował swą postać i szedł krokiem pewnym przez wieś w stronę miasta. Po drodze wstępował do kilku gospodarzy prosząc o jakąś pracę, ale wszędzie odmawiano mu jej. Przytem zauważył, że ludzie nie dowierzają mu — i radzi są z tego, gdy odejdzie. Całe przedpołudnie uganiał po wsi za robotą, ale gdy mu jej nigdzie nie dano, usiadł przy drodze zrozpaczony.

— Przepadło! — rzekł do siebie z smutkiem — Jak widzę, to w tych łachmanach, jakie mam na sobie, trudno mi będzie pracę wynaleźć... A takbym teraz pracował i taką mam wielką ochotę poprawy!



## Wiara.



— Powiedz mi pani, ile lat pani liczy ?

— 22.

-- Teraz wierzę pani naprawdę, bo mi pani to  
7 lat powtarza...

Westchnął głęboko, rozejrzał się po polu, a zobaczywszy w oddali j kiś folwark, spróbował jeszcze tam się zgłosić. Szedł przez pole ścieżkami zmierzając do celu, gdy nagle zobaczył, w życie stojącego, straszaka na wróble. Zbliżywszy się ku niemu zauważył, że straszak ten ma na sobie lepsze łachmany jak jego. Po chwili namysłu, pościągał swoje, powkładał na patyki, a przebrawszy się w lepsze, zawrócił na drogę inną.

Teraz wyglądał cośkolwiek przywoiciej jak przedtem, ale nie mógł już pójść do folwarku, dlatego podążył drogą ku miastu. Przed wieczorem znalazł się już w znanem mu dobrze wielkim mieście i począł w nim na dobre szukać zajęcia. Tym razem poszczęściło mu się lepiej. Zaraz na drugiej, czy trzeciej ulicy zobaczył kroczącego jakiegoś pana, niosącego w ręce dużą walizę.

Dobrodzieju łaskawy! — rzekł do niego — pozwól mi, a poniosę panu tą walizę. Od rana nic jeszcze nie zarobiłem!

Pan oddał mu z ochotą walizę, a gdy ją odniósł za nim do mieszkania, został przez tegoż hojnie wynagrodzony. Oprócz przekąski, dał mu pan jedną koronę, pani zaś także od siebie dodała mu drugą. Podziękowawszy wyszedł na ulicę i z dumą popatrzył na te pieniądze, które po raz pierwszy od lat 12-tu, uczciwie zarobił! — Z temi dwoma koronami pogonił do administracji dziennika i kupił za nie 30 egz. wieczornego wydania. Pokup na nie był wielki, dlatego w niespełna godzinie wysprzedał je wszystkie, zarobiwszy przy tem kilkudziesiąt centów. Na drugi dzień przy rannem, południowem i wieczornym wydaniu zarobił na czysto 5 koron, a gdy w następnych dniach szło mu tak dalej, mógł już pomyśleć o swojej garderobie. Za kilka koron kupił sobie stare, ale nie bardzo zniszczone ubranie, kapelusz i bieliznę, zdatkował sobie nocleg u pewnej starej wdowy, z bucikami miał jeszcze zgryzotę, bo choć były już całkiem zniszczone, kupić je sobie na razie nie miał z czego. Za dwa czy trzy dni zaoszczędził sobie pięć koron i te trzymał na kupno choć starych bucików.

Przez cały dzień nalatał się po ulicach, teraz usiadłszy sobie w publicznym ogrodzie na ławce, pragnął chwilę odpocząć.

— Abym jeszcze buciki sobie jakie kupił, to już będę mógł się pokazać do biura stręczeń pracy — myślał w duchu. — To uganianie po ulicach już nie dla mnie, nogi mi popuchły i łamią po nocach.

Tak siedząc, robił plany na przyszłość, ciesząc się, że mu się udało z błota wybrnąć i zejść na drogę uczciwą, a gdy wspomniawszy sobie o księdzu proboszczu, to postanowił pójść i podziękować mu za jego dobry uczynek. Temi myślami zajęty, zdrzemnął strudzony na ławce i byłby tak długo spał jeszcze, gdyby nie zbudził go płacz dziecka. Otworzywszy oczy, zauważył na obok znajdującej się ławce, siedzącą wyschniętą i bladą kobietą, tulącą do siebie małe dziecko, przy niej zaś stała mała dziewczynka i prosiła ją o chleba kawałek.

— Nie mam dziecko, zaczekaj — mówiła do dziewczynki matka — może się kto zlituje i czem nas wspomóż!

Widząc taką nędzę, powstał z ławki nasz bohater, i całą 5-cio koronówkę jaką miał na buciki dał stro-skanej matce.

— Oby ci Bóg pobłagostawił, dobry człowieku! — rzekła matka ze łzami — Gdzie tylko wstąpisz, niech ci się zawsze szczęści!

Wieczorem tego dnia, jak zwykle uganiał nasz kolporter z gazetami po ulicach, ale jakoś dziś nie szło mu dobrze. Czuł się tak umęczony, że ustać nie mógł na nogach.

— Pójdę dziś wcześniej spać się położyć — myślał — jeszcze żebym tych parę egzemplarzy sprzedał..

Poszedł na najruchliwszą ulicę, gdzie były przystanki tramwajów elektrycznych, ale gdy przechodził z gościńca na trotuar, spostrzegł na ziemi leżący wielki portfel. Czempredziej porwał go z ziemi schował w kieszeń i podążył do swej izdebki.

— O, coś to dzisiaj pan Zygmunt wcześniej jak zwykle do domu przewrócił... Czy może coś chory! Może herbatki zgotować? — pytała lokatora starszka wdowa.

O, dziękuję bardzo! Chory nie tak jestem, jak bardzo umęczony, dlatego pragnę się wcześniej, jak zwykle położyć.

— No, to już idę i nie będę przeszkadzała.

Poszła do swej kuchenki, zamknawszy drzwi z drugiej izby. Zygmunt zaś korzystając z jej nieobecności, zajrzał skwapliwie do portfela. Zobaczywszy w nim kilkanaście sztuk papierowych tysiącoronówek, omal że nie krzyknął z radości. Schwał prędko pugilares do łóżka, a położywszy się na niem, marzył o przyszłym swem powodzeniu:

— Teraz już będą bućki, będzie ubranie i będzie wszystko! Od dziś jestem już bogatym!

Całą noc usnąć nie mógł, tak był przejęty swoim szczęściem. Nad ranem udało mu się przeliczyć pieniądze. Oprócz kilku weksli opiewających na większe sumy, znalazł w pugilarzesie 19 sztuk tysiącoronówek, na spodnie zaś znalazł wizytówkę z nazwiskiem: „Inż. Rudolf Malik, właściciel fabryki motorów, ul. Gazowa 42“.

Znalazłszy tę wizytówkę, w pierwszej chwili chciał ją Zygmunt zniszczyć, jednak po chwili namysłu, nie uczynił tego.

— Oszalałem chyba! — rzekł do siebie — Przecież te pieniądze nie należą do mnie, muszę je dziś jeszcze oddać właścicielowi.

\* \* \*

Przy ulicy Gazowej mieściła się wielka fabryka motorów, której właścicielem był znany i lubiany inżynier Rudolf Malik, od dwóch lat owdowiały, posiadający tylko córkę jedynaczkę, Matyldę. Widzimy go teraz w swoim biurze, siedzącego w głębokiej zadumie. Obok niego stoi jego córka Matylda, ładna i smukła brunetka, starając się wybadać ojca o przyczynę smutku.

## Wracają!



On: A pani jakże się czuje po powrocie z Krynicy?

Ona: Ja nieszczerólnie, ale mojej córce to posłużyło... zaręczyła się...

— Ojczulku, powiedz mi przecie co ci się stało? Czegoś od wczoraj taki smutny? Twój służący powiedział mi także, żeś całą noc nie spał...

— Niestety, prawdziwe nieszczęście spotkało twego ojca! — wyrzekł ojciec z rozpaczą. — Jestem całkowicie zrujnowany! Wczoraj, widocznie gdy z tramwaju wysiadał, wyleciał mi portfel z pieniędzmi. Były tam także weksle na większe sumy...

— Może się jeszcze znajdzie? — pocieszała córka

— Wątpię bardzo. Już wczoraj zatelefonowałem na policję, ale do dziś nie ma żadnego rezultatu. Pytałem już i dzisiaj, nic niema. Pieniądz to rzecz łakoma, znalazł go jakiś nieuczciwy człowiek, to weksle zniszczy, z pieniędzmi wyjedzie...

Chodził po pokoju i myślał nad swoim nieszczęściem, Matylda zaś patrzyła z rozpaczą na ojca, nie mogąc mu nic poradzić.

Koło 10-tej rano, wszedł lokaj do biura, z oznajmieniem, że jakiś człowiek pragnie się widzieć z panem inżynierem.

— Niech wejdzie! — rozkazał inżynier.

Do biura wszedł teraz nieśmiało Zygmunt, a ukłoniwszy się Malikowi i jego córce, zapytał:

— Czy mam honor mówić z panem inżynierem Rudolfem Malikiem?

— Jestem nim. Czego pan sobie życzy?

— Wczoraj, panie inżynierze, idąc ulicą wieczorem, znalazłem portfel..

— Na Boga! I ma go pan przy sobie?! — przerwał inżynier, zerwawszy się z krzesła.

— Oto i on — rzekł Zygmunt. — Proszę przeliczyć, czy jest wszystko..

Trzęsącemi rękoma otworzył inżynier portfel, a zauważywszy, że wszystko w porządku, odetchnął głęboko:

— Boże dziękuję Ci! Jestem ocalony!

Radość inżyniera, była tak wielka, że zapomniał na chwilę o swym wybawicielu, jednak gdy ten zamierzał odejść, porwał go za rękę a ściskając mu dłoń dziękował:

— Dziękuję ci dobry i uczciwy człowieku ! Oca-  
liłeś mi swoją uczciwością całą egzystencję, dlatego  
w nagrodę za to, przyjmij pan choć cząstkę z tego, co  
mi oddałeś...

To mówiąc, wyciągnął inżynier z pugilaesu jedną  
tysiąc koronówkę, ale gdy chciał mu ją wręczyć, Zyg-  
munt przyjąć się wzbraniał.

— Dziękuję panu inżynierowi. Za spełnienie me-  
go uczynku nie należy mi się żadna zapłata, tak każdy  
uczciwy człowiek uczynić powinien. Jeżeli jednak pan  
inżynier jest tak dla mnie łaskaw, to poproszę o jedno...

— O co? — Mów pan, a jak tylko jest to w  
mojej mocy, wszystko dla pana zrobię !

— Chciałbym prosić pana inżyniera o jakieś za-  
trudnienie.

— Ależ owszem! Ale do czego pan ma zdolności?

— Biurowe zajęcie byłoby dla mnie najstoso-  
wniejsze.. Dwanaście lat temu, pracowałem jako bu-  
chalter w jednej z większych firm krajowych...

— Proszę bardzo. Od dziś jesteś pan przyjęty.  
A teraz powie mi pan nazwisko i miejsce zamieszkania.

— Nazywam się Zygmunt Czapski, a mieszkam  
kątem na ulicy Spadzistej 17.

— No teraz, gdyśmy już wszystko załatwili, daję  
panu zaliczkę na pensję, bo uważam, że musi pan  
i swoją garderobę trochę uporządkować.

— Dziękuję serdecznie, panu inżynierowi. Jutro  
zgłoszę się w biurze dla objęcia posady i mam nie-  
płonną nadzieję, że pan inżynier będzie zemnie zado-  
wolony.

Po odejściu jego, tak inżynier jak i córka, chwa-  
lili jego uczciwość..

— Widziałeś ojczulku, takie miał buciki! zniszczo-  
ne i ubranie niemodne a jednak nie złakomiły go  
pieniądze...

— Jakiś uczciwy człowiek ! Muszę się nim zająć  
i wybadać z jakiego powodu tak zubożał...



Nazajutrz około godziny 9 rano, zapukał do biura inżyniera wysoki elegancko ubrany mężczyzna. Był nim Zygmunt Czapski, przebrany, wymyty i ogolony, nie do poznania. W pierwszej chwili tak inżynier, jak i jego córka nie mogli w nim poznać tego człowieka nędznie ubranego, jaki był wczoraj w biurze. Inżynier kazał mu chwilę usiąść, porozmawiał, później poszedł z nim do wielkiej sali w której pracowało kilkudziesięciu urzędników. Tu przedstawił Zygmunta szefowi, prosząc go o zatrudnienie wedle jego zdolności.

\* \* \*

Od tego czasu minęło kilka miesięcy. Przez ten czas Zygmunt swoją pracowitością i sumiennością w pracy, zwrócił na siebie uwagę szefa biura. Najwięcej zdolności okazywał w dziale buchalteryjnym a nawet przewyższał nią starego buchaltera, zajętego od kilku lat w biurze. Stary buchalter był słabowitego zdrowia i często musiał leżeć w łóżku, wtedy to zastępował go Zygmunt poprawiając błędy, jakie pierwszy uczynił.

Niedługo potem, stary buchalter umarł, a Zygmunt objął po nim stanowisko stałe i dobrze płatne.

Od tego czasu Zygmunt powinien się czuć całkowicie szczęśliwym, a jednak nie był nim w istocie. Powodem tego była Matylda, w której zakochany był po uszy. Nie mógł narzekać na brak szczęścia i do niej, owszem, zauważył, że i ona rumieni się na widok jego i rada z nim rozmawia, ale gdy wspomniał sobie o swojej przeszłości, wszelkie marzenia jego pryskały jak bańki mydlane.

— Nie dla mnie ona! — Nie godny jej jestem! — mówił do siebie. — Moja przeszłość skompromitowałoby tak ją, jak i jej ojca!

Jak mógł unikał widywania się z Matyldą, a gdy czasami mimo tego, zeszedł się z nią niespodzianie, to umiał rozmowę tak prowadzić, aby nie zaszła ona na tory niebezpieczne dla niego.

Ale raz zaszedł wypadek niespodziewany. Było to letnią porą, pod wieczór. Wyszedszy z biura



Zygmunt, usiadł na ławce w parku, będącego własnością inżyniera Malika, a rozciągającego się obok willi zamieszkałej przez właściciela. Siedząc, zamyślił się nad swoim terazniejszym położeniem i nad wyraz niebezpiecznym uczuciu, jakie żywił dla Matyldy. Z zadumania tego ocknął go głos inżyniera Malika i jej córki, spacerujących po parku.

— Przecież raz udało mi się pana zobaczyć! — rzekł poufale inżynier, podając rękę Zygmuntovi — Czego się pan tak zamyślił?

Zygmunt zmieszany, ukłonił się ojcu i córce, i począł się niedość zręcznie tłumaczyć.

— No, no, rozumiem pana! — rzekł Malik z uśmiechem — Ot młodyś pan, to i niedziwota, że marzyć musisz!

Matylda szła obok ojca, Zygmunt zaś, mimo chęci, musiał pójść obok niej.

— Wiesz co ojczulku! — rzekła Matylda pieśczośliwie — Słyszałam, że pan Czapski zamierza się żenić... Czy to prawda, panie Czapski, powiedz pan szczerze?

— Potwierdzić tego nie mogę! — rzekł Zygmunt — Nie mnie o żeniacze myśleć.

— Dlaczego? — spytali ciekawie ojciec i córka.

— Jest to moją tajemnicą! — rzekł Zygmunt poważnie, przerzuciwszy rozmowę na inny temat.

Spacerowali tak razem po parku, kiedy służba oznajmiła, że czas na kolację.

— Ale pan dziś zje z nami kolację? — zapytał ojciec Zygmunta.

— Z największą przyjemnością! — skłamać musiał Zygmunt.

Przy kolacji Zygmunt był bardzo zmieszany. Na częste pytania Matyldy odpowiadał grzecznie ale dość chłodno, co spowodowało, że popsuł się i jej zwykły humor.

Po kolacji przeszli się do salonu, w którym na kilka minut młodzi ludzie zostali sami. Matylda wykorzystwała chwilę nieobecności ojca i zapytała Zygmunta o powód ciąglego jego smutku.

— Panie Czapski, wyznaj mi pan szczerze z jakiego powodu jesteś pan tak ciągle smutny? — Proszę pana o to — tu się zarumieniła — bardzo mi na tem zależy...

— Panno Matyldo! — rzekł Zygmunt głęboko wzruszony — należę do ludzi bardzo nieszczęśliwych, dlatego nie mogę być nigdy wesołym...

— Dlaczego nieszczęśliwy?

— Jak już mówiłem, jest to moja tajemnicą, którą wyjawić przed nikim nie mogę...

— Nawet i przedemną?

— Nie mogę, nie mogę, nawet i przed panią, bo wiem, żebym się naraził na coś najgorszego.

Rozmowę przerwano, bo właśnie wszedł ojciec. Rozmowa przeszła na inny temat, ojciec był wesoły, śmiał się i dowcipkował, Zygmunt zaś i Matylda byli roztargnieni. Przez jakiś czas był jeszcze Zygmunt w salonie, potem pożegnawszy się, wyszedł do siebie.

Od tego czasu minęło znów kilka tygodni. Matylda widywała się czasem z Zygmuntem, ale widząc że jest zawsze tak dla niej chłodnym, postanowiła unikać jego widoku. Przy tem posmutniała, jak nigdy przedtem. Zauważył tę zmianę ojciec, a gdy raz spytał ją o powód, wyznała przed ojciem otwarcie, że kocha Zygmunta, ale on dla niej był i jest zawsze chłodny. Ojciec przyjął tę wiadomość bardzo przychylnie, Zygmunta lubił i bardzo szanował, ale nie mógł zdać sobie sprawy z tego, dlaczego do dziś nie poprosił o rękę jego córki. Widząc jednak, że jedynaczką jego z dniem każdym marnieje, postanowił sam się z Zygmuntem rozmówić.

— Panie Czapski — rzekł do niego pewnego razu, zaprosiwszy go do siebie — Lubię być otwartym, dlatego chcę panu powiedzieć krótko i wężłowato: moja córka kocha panu i dlatego, że pan jesteś dla niej oziębły, marnieje mi dziewczyna z dniem każdym. Jak panu wiadomo, jedyną pociechą życia mego jest ona i dla jej szczęścia poświęciłbym wszystko co posiadam...

**Wet za wet.**

Żona (do męża, poety): Czy ty myślisz, że rzeczywiście muszę przeczytać to wszystko, co ty napisałeś?

Mąż: A czy ja muszę jeść to wszystko, co ty zgotujesz?

Zygmunt wysłuchał wszystkiego z niemą rozpaczą, a widząc, że się wymówkami nie wymota, wyznał przed Malikiem całą prawdę. Opowiedział swoje przeprawy życiowe, opowiedział że był już sądownie karany, wogóle wyznał wszystko, jak przy spowiedzi.

— Choć kocham także pannę Matyldę całą siłą serca mojego, lecz dla jej szczęścia, nie wspomniałem jej ani słówkiem o tem — kończył Zygmunt opowiadanie...

Opuścił ojciec głowę — zamyślił się przez chwilę i poradził Zygmunutowi, aby gdzieś wyjechał na jakiś czas, to może Matylda zapomni o nim. Zygmunt na wyjazd zaraz się zgodził, oznaczono termin, i za dwa tygodnie miał on wyjechać.

Przez te dwa tygodnie Zygmunt miał dużo zajęć w biurze. Chcąc wszystkie księgi w porządku zostawić, musiał nocami ślęczyć nad niemi i tylko trzy do cztery godziny poświęcał spaniu.

— Nie wrócę już nigdy! — mówił do siebie z rozpaczą Zygmunt. — Nie mogę unieszczęśliwić swoją osobą tak dobrych i życzliwych dla mnie ludzi.

Lecz stało się inaczej, jak myślał Zygmunt. Nie wyjechał on na zawsze, a został, a powodem tego było nieszczęście, jakie spotkało inżyniera Malika. Oto pewnej nocy, kiedy Zygmunt zajęty był w biurze, z niewiadomej przyczyny wybuchł pożar w willi zamieszkałej przez Malika i jego córkę. Ogień podsycany silnym wiatrem objął w jednej chwili ubikacje na pierwszym piętrze i zagrażał utratą życia jej śpiącym mieszkańcom. Wybiegł Zygmunt czemprowadziej na podwórze, pobudził służbę, a sam podążył do ubikacyj górnych. Nie znając rozkładu tychże, błąkał się po różnych pokojach, wreszcie udało mu się wpaść do sypialni inżyniera. W jednej chwili porwał go na ramiona, wyniósł na kurytarz, oddając go służącemu, sam zaś powtórnie wbiegł do drugiej sypialni, gdzie leżała już bezprzytomna Matylda.

Oprzytomniały ojciec Matyldy, nie widząc córki obok siebie począł rwać włosy na sobie, krzycząc:

— Gdzie moja córka?!

Przytem musiano go silnie trzymać bo się rwał biedz na jej ratunek. Tłumaczono mu, że po córkę jego pobiegł już pan Czapski i zapewne niedługo ją zniesie.

Zygmunt ale był w tej chwili w krytycznym nad wyraz położeniu. Wybiegłszy z omdlałą Matyldą na kurytarz, spostrzegł z przerażeniem, że niema już którejdy zbiedz na dół, bo schody paliły się już jasnym płomieniem. Zorientowawszy się prędko w sytuacji, zobaczył jeden tylko wychód, a to ucieczkę schodami na strych. Nie tracąc ani chwili czasu, wybiegł z drogim swym ciężarem na strych i przez otwór w murze, wołać począł pomocy. Niczem przystawiono drabinę, porwał Zygmunt jakiś drag żelazny i począł nim wybijać cegły w otworze zbyt jeszcze małym. Za kilka minut w otworze ukazał się strażak ogniowy, jemu to oddał Zygmunt omdlałą Matyldę, a sam zaś z wysilenia i gorąca, upadł omdlały na strychu.

Można sobie wyobrazić, jak się ucieszył ojciec, zobaczywszy, że jedynaczka jego ocalona, płakał ze wzruszenia i szukał oczami za wybawicielem.

— Gdzie jest pan Czapski? — zawołał do otaczających go ludzi, a nie dostawszy na swe pytanie odpowiedzi, pojął, że Zygmunt jest jeszcze na strychu.

— Bójcie się Boga ludzie! — krzyknął teraz Malik — ratujcie pana Czapskiego, bo on pewnie jeszcze na strychu!!

Kilku strażaków wskoczyło na drabinę, dwóch z nich wlało przez otwór na strych i tu znaleźli bezprzytomnie leżącego Zygmunta. Ostrożnie zniesiono go na dół, przywrócono do przytomności, a że był w kilku miejscach poparzony, zawieziono go do szpitala.

Kilka dni leżał Zygmunt bez przytomności, gorączkując ciągle, szóstego dopiero dnia oprzytomniawszy, zobaczył przy swem łożu Matyldę i jej ojca.

— Lepiej już panu, panie Zygmuncie? — spytała Matylda, pochyliwszy się nad chorym.

— Musi mi być dobrze, kiedy pani jest przy mnie — wyrzekł chory z uśmiechem.

Za pięć tygodni powrócił Zygmunt zupełnie do zdrowia, a gdy pokazał się w biurze, uradowany Malik nie mógł wynaleźć słów podziękowania dla niego.

— Panie Czapski — rzekł do niego inżynier ze łzami w oczach — już poraz drugi wyświadcz mi pan taką przysługę, za którą tym razem wynagrodzę cię najdroższym skarbem, jaki posiadam... Zapomnijmy o pańskiej przeszłości, pańskie terażniejsze czyny zmazały zupełnie dawne, zboczone, bierz pan za żonę córkę moją, boś sobie ją zupełnie zasłużył!

Za dni kilka odbyły się zaręczyny obojga młodych ludzi, a za trzy tygodnie odbył się i ślub. Po ślubie, uradowani młodzi postanowili odbyć podróż poślubną własnym samochodem. Żegnani przez ojca i znajomych odjechali szczęśliwi. Po drodze, rzekł Zygmunt do żony :

— Teraz najdroższa, jak już wiesz wszystko o mojej przeszłości, pokażę ci miejsce, w którym przebrałem się w człowieka innego.

Dojeżdżali właśnie do tego miejsca, w którym stał jeszcze straszak na wróble..

— To ubranie na tem strazydle, moja najdroższa, to było moją własnością. — Tutaj w tem miejscu przebrałem się w lepsze łachmany, a swoje gorsze zostawiłem. A teraz, pojedziemy do tego człowieka, który mnie sprowadził na drogę prawą.

Pokazał szoferowi drogę, którą ma jechać, a gdy zajechali przed plebanją, wysiedli oboje.

Staruszek ksiądz proboszcz siedział właśnie przy księdze metrykalnej, gdy po zapukaniu weszło do pokoju dwoje młodych ludzi.

— Czego sobie państwo życycie? — spytał uśmiechnięty. — Pewnie o ślub wam chodzi?

— Nie o ślub, księżo proboszczu, bo ten już wzięliśmy przedwczoraj, przyszliśmy tylko podziękować księdzu proboszczowi za dobry uczynek, jakiś uczynił dla nas obojga...

— Ależ ja was wcale nie znam, moi młodzi ludzie! — rzekł ksiądz, przypatrując im się ciekawie.

— Mojej żony to ksiądz proboszcz nie zna, ale mnie to zna dobrze, tylko zapomniał...

— Nie, i pana także nie przypominam sobie...

— Kiedy tak — rzekł teraz Zygmunt — to muszę się już sam księdzu przypomnieć... Czy przypomina ksiądz proboszcz sobie, jak to przed kilkunastu miesiącami zgłosił się u księdza włóczęga, którego ksiądz posilił i przenocował?

— Tak, pamiętam to dobrze. No i co się stało z tym nieszczęśliwcem, gdzie jest on obecnie?

— Obecnie... on stoi naprzeciw ciebie, przezacny księżu proboszczu!

To powiedziawszy Zygmunt, rzucił się do rąk zdziwionego nad wyraz księdza, a całując mu ręce dziękował za dobry jego uczynek...

Prawdziwie uradowany tą wizytą ksiądz, rozkazał kucharce sporządzić skromne śniadanko, przy którym musiał Zygmunt opowiedzieć mu o wszystkich swoich zdarzeniach.

— Tak, tak! — rzekł proboszcz, wysłuchawszy opowiadań Zygmunta. — Rumieniec wstydu ocalił pana od przepaści!

Po czułym pożegnaniu, zaprosili księdza za siebie do siebie, a gdy z poślubnej podróży wrócili nasi młodzi, posiadali oprócz przyjaciela ojca, drugiego przyjaciela, księdza proboszcza.



## U doktora.

Doktor: Dlaczego pan sobie zawiązał prawy policzek?

— Pacjent: Bo moja żona jest mańkutką.

## Dopytała się.

W teatrze siedzieli mąż i żona, oboje nie pierwszej już młodości. Wtem na scenie ukazała się piękna aktorka w przesłicznej sukience, pokazując swoje tak piękne nóżki, że choć weź i całuj...

Mąż popatrzył się na swoją staruszkę i splunął z pogardą.

— Czego ty plujesz — pyta go żona — przecież to śliczna dziewczyna, jak złoto.

— Naturalnie, że ona ładna. Kto mówi, że nie?

— To czegoś splunął z taką złością?

— Plunąłem nie na jej, lecz na twój rachunek — bronił się mąż.

## Asekuracja.

Staś: Czego tak pędzisz?

Jaś: Spieszę zaasekurować moją żonę od ognia.

Staś: Co to ma znaczyć?

Jaś: Bo, gdy jej coś mówię, to się zapala, jak płomień.

## W sądzie.

Sędzia (do świadka): Czy pani zamężna?

Świadek: O! już dwa razy.

Sędzia: A ile pani ma lat?

Świadek: 25.

Sędzia: Czy także dwa razy?



## Z krainy nieszczęśliwców.



— Patrz, moja kochana, mój mąż mówi, że od-  
kąd się ożenił, to niema ani jednej przyjemnej chwili...

— Tuman jakiś! A cóż on myślał, że małżeństwo  
jest przyjemnością!?



## W buduarze pani Leontyny.

Pan Artur ścisnął pożądliwie rękę pięknej pani i szepnął jej:

— Błagam cię! Nie myśl o swoim mężu!

— O, wy mężczyźni, zawsze usiłujecie tylko nas psuć! — zauważyła, uśmiechając się właścicielka buduaru.

— Naodwrot! Kobiety psują mężczyzn! — drażnił ją Artur.

— Powtarzam: mężczyźni, bo jesteście od nas słabsi.

Wywiązuje się ożywiona dyskusja, prowadzona z początku w tonie żartobliwym, z czasem staje się coraz poważniejszą.

— Jeżeli pan ma dosyć siły, niech pan natychmiast wstanie i opuści ten pokój!

— Jeżeli pani może, niech pani mnie pożegna — replikuje p. Artur.

— Żegnam pana!

— A ja idę!

— I pan zaraz wróci, wiem.

— Pani mnie zaraz sama o to poprosi, to pewne. Pan Artur stoi przy drzwiach, zwraca swój wzrok ku p. Leontynie poraz ostatni, lecz ta milczy.

Oddala się. Przystaje na schodach i mruczy:

— Przecież byłem durniem.

A Leontyna podnosi się ze złością z kanapy i wdycha:

— Któżby przypuścił, że mnie złapie za słowo.

*Ch. Mosel.*



## Z pamiętników Józka Ciuchraja.



Ku rozweseleniu moich Sz. Czytelniczek i Czytelników, opiszę wypadek, jaki mi się wydarzył kilka lat temu:

Mieszkałem z Zalewajkiem przy ulicy Ormiańskiej, na I-szem piętrze pod schodami, t. j. w suterrenach. Pokoik nasz kawalerski, umeblowany był bardzo elegancko... Przy jednej, wilgotnej ścianie, stały dwa łóżka żelazne, trzymające się na pięciu tylko nogach, na łóżkach leżały w rozpaczliwym stanie dwa podarte sienniki, na środku stała duża beczka z kapusty, dnem do góry, obok niej dwie próżne paczki z pomarańcz. Beczka służyła nam za stół, paczki do siedzenia, a łóżka niby do spania..

Na ścianach, upiękuszonych pajęczyną, poprzylepiane były obrazki, wycięte z rozmaitych pism ilustrowanych.

Mieszkania tego, choć tak z komfortem urzędzonego, nie zamykaliśmy nigdy, a to z dwóch powodów: po pierwsze, nie baliśmy się wcale, aby nam

co kto ukradł, a po drugie w drzwiach nie było zamku, a tylko tkwił haczyk druciany, który założony na gwóźdź, trzymał je w stanie zamkniętym.

Pewnego razu, pamiętam dobrze, rano o godzinie 9-tej, gdyśmy z Zalewajkiem leżeli jeszcze w łóżkach, poprzekrywani marynarkami, spodniami i t. p. kamizelkami, wlaź do nas ś. p. c. k. egzekutor podatkowy, upominający się o zaległy podatek osobisto-odchodowy.

— Nie mam ani halerza! — powiadam do niego. — Idź pan, i niech go gdzieindziej Pan Bóg opatrzy!

Egzekutor popatrzył na mnie, na Zalewajka, potem ogarnął wzrokiem naszą całą sypialnię — i w płacz! Płakał, jak nowonarodzony cielak, a gdy przestał, wyrzekł z westchnieniem:

— Hospody pomyśluj! Hospody pomyśluj! — i wyszedł wielce wzruszony.

Pierwszy to raz w życiu widziałem łzy, tak zwane urzędowe, wyciśnięte na widok naszej nędzy.

Ale do rzeczy!

Pewnego dnia siedziałem z Zalewajkiem na ławce, na Wałach hetmańskich. On i ja, razem do spółki, mieliśmy na obiad, podwieczorek i kolację... aż 6 halerzy! Nic dziwnego, że wobec takiego stanu naszej kasy, byliśmy bez humoru. Co kupić za tak marną monetę, gdy się jest prawdziwie głodnym?

Po długiej naradzie uchwaliliśmy jednogłośnie kupić dwa szporty, a resztę, dwa halerzy, zostawić na wabika.

Z zapalonemi papierosami w ustach, szliśmy do domu, weselsi cośkolwiek. Zalewajko nawet pogwizdywał sobie wesoło, wreszcie powiada do mnie z powagą:

— Jakto dobrze, że jesteśmy sami, bez żon i dzieci; zwarzjalibyśmy teraz od zgryzoty...

— Masz słuszność powiadam. — Chociaż nam głodno, ale czasem i wesoło. Ot, teraz, położymy się do naszych barłogów i prześpimy w nich do jutra. Może jutro będzie dla nas łaskawsze...

Przychodzimy do wnętrza naszej sypialni — i tak ja, jak i Zalewajko, stanęliśmy jak piorunem rażeni!...

Na łóżku Zalewajka leżało spowinięte małe dziecko!...

— Ładnieś się spisał, Jóźko! — krzyknął do mnie Zalewajko. — Któraż ci to kochanka dziecko przysłała?

— Stul pysk! Toś ty winowajca! Przecież na twojem łóżku leży dziecko! O... ona dobrze wiedziała, w którym łóżku leży ojciec jej dziecka!..

Aby być szczerym, to muszę wyznać, że dzień w dzień spodziewałem się takiego prezentu od jednej z moich kochanek, ale nie chciałem przed Zalewajkiem przyznać się do tego, widząc, że i on ma podobny grzech na sumieniu.

Dziecko leżało cicho, a my obaj staliśmy na środku pokoju, nie wiedząc co czynić.

— I cóż, ojczy — drwiłem z przyjaciela — kiedy będą chrzciny dziecka?

— Daj mi spokój! — odfuknął Zalewajko. — Ty się śmiejesz, a tu wcale śmiechu niemal... Trzeba z tem dzieckiem porządek jakiś zrobić...

— Odniesz je matce — powiadam.

— Ba! Gdybym choć wiedział której?..

Rada w radę, wpadliśmy na szatański pomysł. W tej samej kamienicy, na II-giem piętrze, mieszkał pewien starszy kawaler, urzędnik sądowy, który miał także dużo dziewcząt na sumieniu. Dziecko zanieś Zalewajko na górę, połóż na progu jego mieszkania, i niech potem on się gryzie tem dzieckiem.

Zalewajko aż podskoczył z radości, porwał dziecko na ręce, lecz gdy popatrzył na poduszkę, którą było dziecko spowinięte, macnął się kułakiem w czoło i powiada:

— Szkoda tak ładnej poduszki! Dam dziecku raczej moją, a tę wezmę sobie...

Jak powiedział, tak i szelma uczynił. Poduszkę czyściutką, obszytą ładnie koronkami, zostawił sobie, a dziecko zapakował do swojej poduszki, brudnej, obpchlonej, napchanej tylko wiórami. Skrępowawszy dziecko powijakami, wybiegł z niem na kurytarz, położył na progu mieszkania owego kawalera i niepostrzeżony przez nikogo, wrócił.

— No, chwała Bogu! — westchnął. — Za tyle strachu, mam choć dobrą poduszkę!..

Nie trwało i pół godziny, wpada do naszego mieszkania jakaś nieznana dziewczyna, spojrzała na łóżko i w krzyk:

— Gdzie jest moje dziecko?!

Zdębieliśmy obydwaj.

— Jakie dziecko? — pytam dziewczyny.

— Jakto jakie? Taż to, które tu, na tem łóżku położyłam!

— Pocóż to panna tutaj dziecko położyła?

Z krzykiem i płaczem wyznała przed nami całą prawdę. Przyszła do znajomej stróżowej, a że dziecko usnęło i nas w mieszkaniu nie było, położyła dziecko na łóżku i sama „na chwilę“ odeszła..

Popatrzyłem na Zalewajka, on się popatrzył na mnie.

— Idź i przynieś dziecko z powrotem — szepnąłem mu do ucha.

Wybiegł.

Za jaki kwadrans wrócił Zalewajko z dzieckiem na rękę

— Ma panna szczęście! — zawołał. — Kilka minut później, a byłoby dziecko już w domu pod-rzutków!

Dziewczyna przypadła do dziecka, chcąc je wziąć z rąk Zalewajka, ale ten powiada:

— Zaraz, zaraz, panienko! Muszę przecież poduszkę swoją zabrać!

Popatrzyłem na poduszkę, ale ona nie była ta, Zalewajkowa, ale jakaś inna, wielka, czysto obleczona.

Dziewczyna spowinawszy dziecko do poprzedniej poduszki, wybiegła z dzieckiem na ulicę, a ja wtedy do Zalewajka:

— A ty skąd wzięłeś tak dobrą poduszkę?

— E, co to poduszkę — powiada Zalewajko. — Popatrz co jeszcze zafasowałem..

Pokazał mi 20-koronowy banknot. Na owe czasy była to spora sumka.

## Spadek.



- Co odziedzyczyłeś pan po śmierci swej teściowej?
- Bardzo dużo.
- Tak?
- Naturalnie !... Spokój domowy !...

Nie chciał mi zaraz opowiadać o swoim szelmostwie, wybiegł na ulicę, a gdy wrócił miał w kieszeni flaszkę wódki, łokiec kielbasy, bochenek chleba i dwie flaszki piwa.

Gdyśmy sobie podjedli i popili, wtedy dopiero zaczął opowiadać :

— Jak widziałeś, wybiegłem za dzieckiem na II-gie piętro, ale ku memu przerażeniu, dziecka na progu już nie było. Co tu robić? Po chwilce namysłu pukam do drzwi owego kawalera raz, drugi i trzeci — szelma nie otwiera! Kopnąłem do drzwi nogą. Ten argument poskutkował. Drzwi się otworzyły i wychylił do mnie głowę przestraszony kawaler, ubrany już do wyjścia.

Co pan sobie życzy? — zapytał nieśmiało.

Przybrałem minę okropną.

— Łotrze! — zawołałem, I ty pytasz co ja sobie życzę?! Gdzie jest to dziecko, które ci tu moja siostra przyniosła?!

Musiałem wyglądać wtedy bardzo straszny, kiedy on się mnie tak przeląkł. Spuścił głowę do ziemi i ręką wskazał do drugiego pokoju.

Sapiąc przeraźliwie i tupiąc silnie nogami do posadzki, wszedłem do tego pokoju. Na łóżku leżało spowinięte dziecko, obok niego leżał twardy kapelusz... Widocznie chciał gdzieś dziecko wynieść.

— Daruj pan! — wyrzekł wzruszony. Ja się dzieckiem tem zajmę, dam go na wychowanie.

— Coo?! Na wychowanie!? I pan, jako prawowity ojciec tego dziecka, miałby sumienie dać to dziecko na mękę i śmierć przedwczesną! Chyba po moim trupie!... To dziecko wezmę do siebie!...

— Będę panu za to bardzo wdzięczny...

— Zaraz zobaczymy, czy pan będzie wdzięczny!...

Wziąłem dziecko na ręce i teraz zobaczywszy moją brudną poduszkę, wpadłem na pomysł przemiany jej na lepszą.

— O, nie, mój panie! — zawołałem. — W takiej marnej poduszce dziecka nie poniosę! Dawaj pan tu inną, czystszejszą, jak ta jest!



— Ależ, proszę bardzo, wybierz pan sobie którą zechcesz...

Pokazał mi ręką swoje łóżko, na którym leżały trzy tęgie poduszki. Rzecz naturalna, że wybrałem poduszkę największą. Przełożyłem dziecko do owej poduszki, a moją szpurnąłem do kuchni.

Gdy już miałem z dzieckiem wychodzić, a on do kieszeni nie sięgał, zwróciłem się wtedy do niego :

— Dawaj pan na dorożkę !

— Z przyjemnością...

Wyciągnął portfel i podał mi 20-koronowy banknot.

Wychodząc z jego pomieszkania, rzekłem do niego szeptem :

— Radzę panu choć przez tydzień z domu nie wychodzić, bo moja siostra z flaszka witrjolu czeka na ulicy...

Podziękował mi za przestrozę, a ja wyszedłem z mieszkania zadowolony z mego kawału...

Na drugi dzień przestraszony ów kawaler sprzedał handełsom całe swoje umeblowanie i pojechał prawdopodobnie do innego miasta, bo go już nigdy we Lwowie nie widzieliśmy. Została się tylko Zalewajkowi pamiątka po nim, owa poduszka, z którą jednak miał dużo kłopotu. Bojąc się, aby mu jej ktoś z domu nie palnął, musiał dorobić zamek do drzwi naszych, nie chciał wieczorem długo wysiadywać w knajpach, tak go ta poduszka ciągnęła do domu.

Szcęściem że i ta zgryzota długo nie trwała. Jednego pięknego poranka przyszedł ów miłosierny c. k. egzekutor i zabrał mu tę poduszkę za zaległy podatek.





# LICHWIARZ UKARANY

albo

## Rurowy niszczęści

czyli

**wesoły smutek lub smutny weseli.**

**Oryginalne smołowy (pechowate) wypadek krajowy.**

Autenticzne opowiadani podług oryginalne giembe od  
kiepskie sonszade, własnoręczni podsłuchane na poprzyk  
murowany szczany.

**(Ballady jak niwieli).**

Niech nikomu sobi nie szni  
Ze tu z wodociągów pieszni  
To interes całkim inne  
Chocz zy smutkim — lecz niwinne.

Ponaprawdy — wielgie skweres  
Ani żadyn to interes  
Nu wypadek jest od pechu  
Troszki curys — troszki szmiechu.

Nie trza muwić wam Panowi.  
Jak przypadyk — to wy Lwowi  
Czy to późni — czy to prendzy  
Dotykuji si piniendzy. —

## Mądre mikrusy.



— Kazik! ty mówisz, że ty jesteś mądry. Powiedz mi, dlaczego w morzu jest woda słona?

— Oj, jaki z ciebie cymbał! Dlatego jest słona, bo w niej są śledzie!...

Kto ma z grajcar do czynieni  
 Muszy rzadki macz sumieni  
 Ali zatym giensty pienty  
 Kiedy idzi o procenty.

\*

Krutkim słowym ni za wieli  
 Jedyn z moje przyjacieli  
 Ingil cziste i kuszerne  
 Buł okropny miłoszerne.

Jak buł jeszczy dżeczki mały  
 Bardzu wielgich miał zapały  
 Dla wigode publiczności  
 Zrobić różnych przyjemności.

Najpirf sprzedał szwarc i świczkę —  
 Potym brał si do pożyczke —  
 Choć nikomu sze ni pytał  
 Wolał procent niż kapitał.

Rok za rokim z żide, z goje  
 Un majontyk zwiększył swoje,  
 A szczygulny złoty młodziż  
 Dał zaliczki raz na odziż,

Raz na karte — raz na koni  
 To na pieskuf — to na broni  
 Dawał nawyt na fyrbelik  
 Inu lubiał macz wekselik.

Brał *sto od sto* do tigodnia  
 Jag chto dawał to ni zbrodnia  
 (Ani żadyn budżył szkolny)  
 Nu umowy dobrowolny.

Miendze żide, chłope, pane,  
 Buł kochane i lubiane  
 Bu syrdeczny miał kiszeni  
 I poradził od zmartwieni.

Chociaż czasym pokryjomu  
 Powiadajom zniszczył komu !  
 A w żyłazny czy w koleje  
 Przypadeczyk si ni dzieje ?

Nu nauczył si od młodu  
 Co miał zawżde brak dowodu  
 Przeciw renkie te karzonce  
 Zawżde giemby miał szmiejące.

Pewnu co to rzecz ostrożna,  
 Komu złapacz dzisz nie można  
 Jak naprzykład: doktor Kratyr  
 Co za mozym buł bohater.

A dżyś ma żyłazny listy  
 Co jest pewnoszcz oczywisty —  
 (Choczby ni miał list żyłazny  
 Kużdyn gołe jest — odważny!)

Krutkim słowym — jag panowi  
 Ruch sze zrobił w nasze Lwowi  
 Miendzie banki — miendze kasy  
 Rużnych figli i grymasy.

Muj przijacil ni buł głupi  
 Nie chczał weksli macz w chałupi  
 Inu krywał ich przed władzy  
*W piecu miendze czarne sudzy.*

Żebe kto od formałnoszczy  
 Niechczał jemu zrobicz złoszczy  
 Podłuk stempli lub podpise  
 Lub procentnych kompromise.

Jag by ich buł trzymał w kasi  
 Lub w kiszeni — w kużdym czasi  
 Mogli jemu napastowacz  
 Za to wun ich wolał schowacz.

Sam swuj pracy pchał do pieca  
 Potym z tego buła heca  
 Bo chocz to buł pewny skrytki  
 Zrobiął sze przypadyk brzydki.

\*

Już piecowy jest natura  
 Ze do niego idzi rura  
 Z jaki szczany lub kumina  
 Właśni to buł ten prziczina.

Od przijacil muj zmartwieni  
 Mału dżabli mu ni wzieni  
 Zeby takie durne rure  
 Zrobiął mu w majontyk dżure !

I bez racje bez prziczone  
 Stawiuł jemu nad — ruine  
 Za ktury si bardzo boji  
 Zy si jemu ni zagoji!

\*

Zatym rury te kochany  
 Szed do pieca mendze szczany,  
 I sze słonczył przez wikrenty  
 Z pomiszkanim od studenty. —

Mondry to przysłowi powi,  
 „Młodych ludzi figli w głowi;“  
 Chocz by zrobicz bliźnych szkody  
 Widacz dżysz już taki młody!

Ni kupili sy szmiciarki  
 No kładali w piec do garki  
 Wszistkiech szmieci i odpadki  
 Mokry — suchy — giensty — rzadki.

\*

**Krótko i węzłowato.**

O n : Co mam zrobić, by pani została moją?  
O n a : Zamknąć drzwi na klucz...

Jak sze mali wyprowadzić  
 To ni chcieli sobi zdradzić  
 I zrobiali ganc porzondyk  
 (Niechby spuchnił jim żołondyk!)

Zapałali sobi szmieci,  
 Na niszczeńci iskry leci  
 Coczaż całkim ni proszony  
 Rurym aż na drugi strony...!

\*

Że to stał si w pory nocny  
 Muj przyjacil chrapnoł mocny  
 Jag sumienny wszystkich ludzi  
 Wstacz ni mogli — aż si zbudzi.

Cosz przez spani mu si sziło  
 Ze gdziesz niby sze paliło,  
 Jakisz hałas i sikani  
 Aż na równy piente wstani.

Jag ni zaczni krzyczyć curys!  
 Moich weksli na kapurys!  
 A tu sze — nadimiul czemno  
 Teraz bedzi konic ze mno.

Renkim — głowym — okim — nosym  
 Lizi w piecu nogim bosym,  
 Aż mu zwalił na chałupki  
 Z niemu wipad popiul kupki!

\*

Tag fortune kołkim toczy!  
 I niszczeńci do nas skoczy,  
 Zwykli ganc nispodziwany  
 Z rure nawył pozaszczany.

\*



Muj przijacil jag ni chapni  
 Sze za sercy i ni chlapni  
 Z całym czałym do podłogi  
 Jeszcz ni mogi — picz ni mogi

Ani chodzicz — ani szadacz  
 Ani nawyt głosznu gadacz!  
 Nu bo wszystkich akceptanty  
 To som taki szpykulanty.

Jag by sze cosz zdowidzieli  
 Zaraz płacicz by niechczeli!  
 Bo czy Pane czy to żyde  
 Szmać si — lubiom z cudze bide.

\*

Muj przijacil idzi struty  
 Nima głosu — nima nuty,  
 Jag ten ryba co zarznienty  
 Tak okrutny przyczyśnienty.

Jak poety rozmarzone  
 Leczi het od dżeczni — żone  
 Chocz załami renkie — nogie  
 Nic zacznacz jusz ni mogie!

Ja tyż jemu nie chcy zdradzicz  
 Nu każdemu mogi radzicz:  
 Ani weksyl — ani szmieci  
 Ni zapchajci w piecu dzieci!...

### **Sens moralny:**

Wdzięczność świata płaci zaraz  
 Jeśli bliźni ma ambaras —  
 Bliźni — który żył z procentów  
 (Z wykrętem — lub bez wykrętów)

Cóż zależy na tem komu  
 Ze on weksle trzymał w domu  
 Dziś z nich został — popiół szczery  
 Lecz dłużnicy to — bliagierzy!

## **Czyn bohaterski w podróży okrętem.**

(Zapiski z pamiętnika aptekarzowej R. B.)

1. kwietnia. Morze jest spokojne. Kapitan jest ładny, ale niespokojny.

2. kwietnia. Kapitan wyznał mi swoją miłość. Powiedziałam mu, że jestem mężatką i na razie odpałam go.

3. kwietnia. Kapitan oświadczył mi, że z rozpaczy gotów jest cały okręt ze wszystkimi pasażerami wysadzić w powietrze.

4. kwietnia. Uratowałam życie czterystu dziesięciu bliźnim.

## **Z posiedzenia.**

— Proszę panów, przystępujemy obecnie do najważniejszego punktu dzisiejszych obrad, mianowicie do zastanowienia się nad zjednoczeniem wszystkich partji, które oświadczyły się za uruchomieniem parlamentu. Odbyłem z prezesami poszczególnych klubów konferencję, a rezultat ich zaraz panom odczytam... (po chwili): Najmocniej przepraszam, ale tekę z protokołami zostawiłem w domu! A to cymbał ze mnie!

Głos z sali: Wobec tego, że nikt się nie sprzeciwił, wniosek pana prezydenta przyjęty jednomyślnie.



## FATALNA TOREBKA.

— Złodziej! złodziej! Łapaj! trzymaj złodzieja! Tłum rzuca się w pościg, ciżba rośnie, krzyk, hałas się wzmaga. Jedna sensacja uliczna więcej.

Udało się wreszcie złodzieja przychwycić. Cudem jakimś znalazł się posterunkowy we właściwą porę i zamknął mu dalszą drogę.

Zrazu trudno zobaczyć winowajcy. Ciekawscy zbili się dokoła niego i posterunkowego — omal ich nie zduszą. Podnoszą się zaciśnięte pięści, słychać złorzeczenia. Uplynęła dłuższa chwila, zanim przedstawiciel władzy bezpieczeństwa zdołał opanować burzę.

Z tłumu występuje zaperzona poważna jejmość.

— Panie posterunkowy! — zwraca się do posterunkowego — Ten łotr wyrwał mnie tę torebkę, którą pan trzymasz w ręce...

Poczem dając folgę żądzy zemsty, wznosi nad głową rabusia parasol i krzyczy na cały głos:

-- A ty szelmo, ja ci pokażę!

I parasol spada raz i drugi raz na głowę bezbronnego, aż posterunkowy musi go wziąć w obronę. Tamuje on mściwy zapal damy.

— Pani nie wolno — powiada — samej wyrażać sobie sprawiedliwości. Pójdziemy na policję. Trzeba złożyć protokół.

I posterunkowy, złodziej, jako też jejmość ruszyli w stronę dyrekcji policji, eskortowani przez tłum gapiów.

Poważnej jejmości nie zamykały się usta przez całą drogę,

— Naturalnie — perorowała — pójdziemy na policję... Tych opryszków powinnyby się wylapać co do jednego... To grzech, że ich ziemia święta nosi...

Złodziej zdawał się nie zwracać uwagi na jej słowa. Szedł spokojnie jak na przechadzkę. Był to młody, jeszcze, ale bardzo zmizerowany człowiek, o policzkach zapadłych i szczeciastym, jasnym włosie. Posterunkowy niepotrzebnie trzymał go za cienkie ramię — złodziej nie okazywał najmniejszej chęci drapnięcia.

Znęciła go elegancka torebka, ledwie ją ujrzał, już była w jego ręku. Ale nie powiodło się: został schwytyany. Wszystko jedno! Nie będzie teraz troszczyć się, gdzie spać w nocy, co zjeść. W kryminale będzie miał wszystko bez kłopotu.

Pochód dotarł do celu, którym była inspekcja policji.

Dyżurujący komisarz był na razie zajęty, co rozjuszonej jejmości dało sposobność do nowych wylewów słusznego oburzenia:

— Chybaby nie istniała sprawiedliwość na świecie, jakby takiego złodzieja nie zamknęli. Ładna historia, w biały dzień człowiek niepewny swego.

Posterunkowy w milczeniu spoglądał na trzymaną w swej ręce torebkę, a złodziej na palce, wyzierające z czegoś, co dawniej było obuwem.

W tem otwarły się drzwi sąsiedniego pokoju. Pojawił się w nich dyżurujący komisarz, towarzysząc młodej, a widocznie silnie wzburzonej damie, której całe exterieur tchnęło elegancją i perfumami lepszego półświatka.

Komisarz z uśmiechem jowialnym i poufałości prawił:

— Bardzo mi przykro, ale to trudno... Nasze miasto jest także wielkim miastem, a pani wie przecie, że podobne rzeczy co dnia zdarzają się w wielkich miastach... Nie jest zaś nigdzie zwyczajem panów złodziei, skradzione rzeczy przynosić na policję!

**Zagadka obrazkowa.**

Gdzie jest zebra?

— Szczególny pech panie komisarzu! — żaliła się wonna rudowłosa diva — Przyjechałam w gościnę do przyjaciółki...

— A może przyjaciela? — przerwał sarkatycznie urzędnik.

— Zaręczam panu słowem, że do przyjaciółki! — zapewniała fertyczna osóbką, obrzucając go zalotnem spojrzeniem. — I trzeba zaraz na początek takiej przykrości!...

Chciała właśnie zwrócić się ku wyjściu, gdy wzrok jej padł na poważną jejmość. Oczy obu kobiet skrzyżowały się i nagle młoda elegantka wydała okrzyk zdumienia:

— Panie komisarzu! — zawołała, rzucając się w stronę jejmości — Dalibóg to ona... to właśnie ta złodziejka!... Kupowałam w sklepie rękawiczki, odłożyłam na chwilę torebkę na ladę w miejscu gdzie stała ta poczwara. Zaledwie na próbę wciągnęłam rękawiczkę, już nie było ani jej, ani mojej torebki. A taki miałam w niej zegarek złoty, taką śliczną torebkę, taki bajeczny pierścionek!...

Wszyscy obecni zdębieli ze zdumienia. Jedyne złodziej zachował spokój i uśmiechał się z cicha.

Oskarżona jejmość w pierwszej chwili zapomniała języka w gębie, zorientowawszy się jednak szybko, stawiała czoło infektywie.

— Panie komisarzu! — rzekła z godnością — niech pan przyprowadzi tę labiryndę do opamiętania, bo ją zamaluję po gębie. Torebka jest moja. Jeżeli wygląda tak jak jej torebka, choć ja nie wierzę, aby taka torba ją miała — to jeszcze nie sztuka. Takich samych torebek może być sto, tysięcy...

— To prawda — przyznał komisarz, którego interesować zaczęła niezwykła awantura. — Przekonamy się zresztą zaraz, do kogo naprawdę należy ta torebka. Proszę powiedzieć, co jest w niej w środku?

— Zegarek! — bez zająknięcia wysapała pękata obywatelka.

Jej oskarżycielka uśmiechnęła się ironicznie.

— Nie trudno było zgadnąć, sama przecie powiedziała przed chwilą.

— Jak wygląda ten zegarek? — indagował komisarz.

— No, jak wygląda?! Gładki złoty zegarek i tyle.

— Aha! — wybuchnęła tamta, strużąc jej marchewki — Złodziejka już się złapała; zegarek jest grawirowany i ma z kilku brylancików ornament na spodniej kowercie.

Komisarz wydobył zegarek z torebki: elegantka miała rację.

— A broszka? — badał dalej komisarz.

— Z brylantami! — jęknęła półgębkiem, coraz bardziej tracąc rezon, korpulentna niewiasta.

— Właśnie, że nie, właśnie że nie! tryumfowała przeciwniczka. Na broszce są same tylko szafiry.

Komisarz postawił jeszcze pytanie co do pierścionka, jejmość wszakże, która omal nie złamała parasola na głowie złodzieja, dała już widocznie za wygraną, w odpowiedzi przygryzała tylko grube, mięsiste usta.

Rudowłosa zaś sięgnęła po torebkę.

— Za pozwoleniem! — rzekł komisarz. — Czy tam już nic więcej nie ma?

— Owszem, jest moja chusteczka, zaperfumowana diviną.

Komisarz wydobył istotnie chusteczkę. Z miną znawcy zbliżył ją do nosa, przyczem nozdrza roztworzyły mu się, chłonąc odurzający zapach.

— Pani ma doskonały gust! — przyznał. — Bo też to istotnie korona perfum.

— A torebka? — niecierpliwiąc się już, spytała „strona“.

— Wobec wylegitymowania się z jej własności należy znowu do pani — oświadczył komisarz oddając torebkę. — Pani zechce tylko podać swój adres na wypadek, gdybyśmy potrzebowali wezwać ją na świadka.

— I owszem: Julja Lemińska u Marji Kądziew-  
lównej, ulica Leona Sapiehy 28.

Z temi słowy, skinąwszy piękną główką, szele-  
sząc jedwabnymi spodniczkami, opuściła biuro.

Komisarz kazał złodziejowi i matronie, która  
zdemaskowana została również jako złodziejka pójść  
za sobą do dalszego pokoju dla spisania protokołu.

Wynalazł potrzebny formularz i właśnie przy-  
stąpić miał do rozpoczęcia indagacji, gdy podano mu  
czyjś bilet.

— Niech ten pan wejdzie! — oświadczył.

Zameldowany nie dał na siebie długo czekać.  
Był to jeden ze znanych jubilerów.

— Mam ledwie kilka chwil wolnych — prze-  
mówił do niego reprezentant władzy. — Jestem bardzo  
zajęty, prosiłbym więc o zwięzłość.

— Ależ sprawa moja bardzo krótko da się opo-  
wiedzieć! — oparł przybysz. — Niespełna dwie go-  
dziny temu zjawiła się w moim sklepie elegancka  
młoda dama i kazała sobie pokazać biżuterje.

— I co dalej? — naglił komisarz.

— Oglądnąwszy je, odeszła, zapewniając, że  
wróci niebawem z pieniędzmi. Po odejściu klientki  
przekonałem się, że znikł mi brylancikami wysadzony  
złoty zegarek, szmaragdowa broszka i pierścień z ru-  
binami — wszystko razem wartości 50.000 zł. To  
przecie wypadek niezwykły!

— A czy ów wypadek miał rude włosy?

— W istocie!

— Wobec tego pewien jestem, że to tylko pe-  
ruka, którą każdej chwili zmienić można! — senten-  
cjonalnie, raczej do siebie niż do otoczenia, powiedział  
komisarz.

— Pan zostałeś nie raz, ale trzykrotnie okra-  
dziony — ciągnął dalej du kupca — i gdybyś zjawił  
się o pół godziny wcześniej, miałbyś pan już wszystko  
napowrót w ręku! Złodziejkę okradła ta zacna pani,  
ją zaś ten urwisz. Następnie pierwsza złodziejka zgło-  
siło się po swą rzekomą własność i otrzymawszy ją, wy-  
niosła się.



— To dziwny wypadek! — zawołał kupiec.

Złodziej słuchając tych wywodów, wybuchnął niekrępowanym już śmiechem.

— Spokój! — oburzył się urzędnik — Tu nie szynk, nie dla zabawy przyprowadzili tu ciebie!

Zadzwonił i podał wchodzącemu agentowi adres rzekomej Lemińskiej.

— Jedź pan natychmiast i dostaw ją tutaj.

W niespełna pół godziny jawił się agent z powrotem. We wskazanym domu nic nie wiedziano o żadnej Lemińskiej.

— To było do przewidzenia — zauważył komisarz — pozostaje panu słaba tylko nadzieja. Naturalnie zarządźmy co należy, aby przychwycić złodziejkę; ale one umieją wymykać się z najsubtelniejszych sieci i sam nie bardzo wierzę w skutek pościgu. Jedno chyba mogłoby przyjść panu z pomocą: gdyby złodziejkę znowu okradł jakiś idjota jak ten o<sup>to</sup>.

To mówiąc, wskazał oczyma na uśmiechającego się ciągle do siebie nędzarza.

W tej chwili jednak zerwał się komisarz z fotelu i krzyknął mocno wzruszony:

— Hola! a gdzież złodziejka nr. II?

W istocie z poważnej matrony nie pozostało ani śladu! Korzystając z zamieszania, wymknęła się niepostrzeżenie.

Na placu boju pozostał jedynie ryżowłosy chłystek, uśmiechnięty i ubawiony całą tą sprawą.

On też pozostał jedynym, którego ostatecznie dosięgło obrażone prawo, aby sprawiedliwości stało się zadość.

### **Wszystko w porządku.**

Na granicy rosyjskiej żandarm zażądał od podróżnego paszportu. Zakłopotany jegomość nie mogąc go odnaleźć, podał mu rachunek z restauracji.

— Głowa wieprzowa, ozór wołowy. nóżki cięjące... — czyta żandarm z uwagą. — Rysopis zgadza się, możesz pan odejść!

## Tak fajno było z początku.

Pewien gospodarz ze wsi N. miał młodą i ładną żonę, którą kochał nad życie. Choć był mężem dobrym i spełniającym gorliwie swe obowiązki, nie lubiła go żona, wołała stokroć więcej młodego parobczaka, który jej bardzo nadskakiwał. Bojąc się męża, aby się o tej występnej miłości nie dowiedział, myślała dniami i nocami, jakim by to sposobem uczynić męża nieszkodliwym. Pewnego razu poszła ona do wróżki i radziła się jej, coby to mężowi uczynić, aby on nic nie widział i nie słyszał. Chytra wróżka zażądała najpierw słonego wynagrodzenia, a potem rzekła do kochliwej gosposi:

— Zapłatyłyście meni gosposiu dobre, dlatoho ja wam takōż dobre poradzu... Idit zautra, tam koło lisa, hde stoit toj dub wysokij i molit sia tam do światoho Nykołaja, aby wasz czołowik oślip i ogłuch...

— Ej Parażko — powiada gosposia — a jak światyj Nykołaj obrazyt sia na mene za to szczo ja swojemu czołowikowy tak złe życzu?

— Ne bijte sia gosposiu, molit sia tilko do neho horiaczo, a bude wse dobre.

Gdy uradowana gosposia wybiegła z chałupy, wróżka wtedy poszła do jej męża i za sowitą zapłatą, opowiedziała mu o niewierności żony.

Namyślał się gospodarz cały dzień nad tem, jakiego by to zbytka swojej żonie wypłatać i na drugi dzień, przebrawszy się za starego dziadka z długą siwą brodą, poszedł na wskazane miejsce, wylazł na dąb i czekał na żonę.

Po jakimś czasie przybiegła ona pod dąb a zobaczywszy staruszka siedzącego na drzewie, poznała w nim odrazu św. Mikołaja. Padła tedy na kolana, a wzniośszy błagalnie ręce do niego, prosiła:

— O światyj otcze Nykołaju! Zmyłoserdy sia nado mnoju! Mij czołowik uže meni naskuczyw sia, ja by konieczno chtiła jeho pozbutyś. Zroby czud nad czudesamy aby mij muž buw ślipyj i głuchyj!

## Tylko połowa.



Ona: Okropni ludzie, ci moi sąsiedzi! Mówią, że mam sześć kochanków.

On: Eh! Z tego co sąsiedzi mówią, zawsze połowa jest tylko prawdą...

— Dobre, moja doroha, wysłuchaju twoju horiaczu prośbu, ałe musysz tak zrobity, jak tobi skażu: Czerez try dny wary bohato pyrohiw, pomasty ich fajno, upeczy dwi huski, prynesy horitki, pywa i wsio to dawaj twomu czołowikowy naj sia raz dobre najist' a po trech dniach win ciłkom oślipne i ohłuchne...

Uradowana gosposia pobiegła do chaty, a gospodarz przebrawszy się, poszedł do lasu, wyciął sobie porządną palicę i przyszedł do domu. Żona teraz zaczęła mu dogadzać całkiem według recepty św. Mikołaja: dawała jeść i pić po uszy i nawet się biedak nie spostrzegł, gdy trzy dni minęło. Nad wieczór dnia trzeciego, krzyknął gospodarz do żony:

— Oj żinko hołubko! szczoś meni stało sia, na oczy ne wydžu i na ucha ne czuju!

— Oj to to! — zawołała uradowana gosposia — A bodaj toj świątyj Nykołaj zdorow buw, szczo mene wysłuchaw!

Chcąc się pozbyć męża, pomogła mu się na, piec wydrapać, a sama zaścieliwszy stół różnymi przysmakami, zaprosiła swego hołupczyka. Tego tylko mąż czekał. Jak zauważył, że hołubci coraz bliżej do siebie się garną, zlął z pieca i huknął:

— Teper wam i świątyj Nykołaj ne pomoże!

Po tej przedmowie, jak zaczął kijem okładać żonę i gacha, aż kij potrzaskał na ich grzbietach. Od tego czasu miał gospodarz z żoną święty spokój, żona zaś na śmierć zganiała się na św. Mikołaja.

## Tylko.

Pewien ojciec skarży się przed swym przyjacielem na syna.

— Cóż on takiego robi?

— Nie umie grać w karty...

— W takim razie cieszyć się możesz...

— Co, cieszyć? On nie umie grać, lecz mimo tego gra i dużo przegrywa.

## Poradnik lekarski.

**Na kaszel uporczywy.** Osuszyć lodu dwa gramy, wiatru ukruszyć trzy uncje, słońca trzy promieni i jeden litr koziego mleka prosto od krowy, to wszystko razem gotować na wolnym ogniu przez pół godziny w nowym glinianym garnku, a precedziwszy przez używaną skarpetkę, używać po szklance rano i wieczór.

**Na ból gardła.** Kawalek słoniny uwiązać na mocnym szpagacie i połykać, a gdy się połknie, wyciągać szpagatem i znów połykać. Powtórzyć to kilkanaście razy. Na chrypkę środek ten również skuteczny.

**Na łupanie kości.** Jeżeli ból kości łupie np. w nodze, ściągnąć nogę w tem miejscu lnianym powrozem, to choćby tydzień łupało, to kości nie rozłupie.

**Na głuchotę.** Kazać sobie wystrzelić granatem koło ucha, a jak się huku nie usłyszysz, to znak, iż żadne lekarstwo nie pomoże.

**Na swędzenie skóry.** Nowym tarłem skórę mocno pocierać, a skutek zapewniony.

## Pan hrabia o swojej służbie.

Mój lokaj „najinteligentniejszy“ z całej służby, przynajmniej za takiego się uważa, wstydzi się swoich golonych wąsów, dlatego zapuścił długie włosy, by uchodzić za artystę.

Kucharz jest wrogiem Eleuterji. Zna doskonale język francuski, ale tylko ze słownictwa kuchennego.

Stangret ma jeden cel w życiu: zrobić dziurę w pudle nowej karety.

Pokojówka jest kapryśną, zalotną i naiwną. Ten ostatni przymiot zamierza wykorzystać w innym kierunku, bo chce wstąpić do teatru wodewilowego.

Niańka do dzieci ma tylko jedną cechę charakterystyczną: nienawidzi dzieci.

Służąca do wszystkiego. Ponieważ ją zgodzono do wszystkiego, jest do niczego!

## Pafnucy Kapusta.

Biografia pośmiertna.

Świat myślący, boleśnie dotknęła śmierć Pafnucygo Kapusty, jednego z najzaszczytniej zasłużonych pionierów samopomocy.

Urodzony w Migdałowej Woli z ojca Kalasantego, pasterza trzody chlewnej i matki Agnieszki z Wykrętasów, już od najwcześniejszych dni życia swego zdradzał olbrzymie zdolności do muzyki. Gdy jego rówieśnicy zabawiali się pluciem na bieżącą wodę rzeki rodzinnej lub wymierzaniem sobie szturchańców, Pafnucy zamykał się w chlewniku, badając głosy przyrody.

Kwik prosięcia, gdakanie kury, nawoływania dziełek folwarcznych, a chociażby i skrzyp drzwi, były mu skarbnicą, która niezwykłej jego intuicji wystarczała za uczone księgi przemądrej szkoły.

Mając pięć lat umiał wygrywać na liściu bzowym, w ósmym roku nauczył się grać na fujarce.

Ale nie tu był kres żądz artystycznych ambitnego młodzieńca. W cztery lata później znalazłszy na śmietniku kawałek grzebienia, porzuconego przez dziedziczkę, Pafnucy ułożył na ten instrument fantazję na temat znanej pieśni: „Kaśka za piec, Maciek za nią”. Dzieło młodocianego geniusza zawyrokowało o dalszej jego karierze.

Wyprawiony przez ojca do Lwowa, w charakterze delegata do noszenia cegły przy budowie domów, Pafnucy wkrótce porzucił pracę, której proza nie odpowiadała jego wrzącemu, na wskroś artystycznemu temperamentowi. Przeniósł się nad Pełtew i tu przy szumie fal wygwizdywał rozmaite melodie, a gwizdał je sercem...

Był on nie tylko filarem wzniosłej sztuki, lecz i człowiekiem stałych, szczytnych zasad.

Dość powiedzieć, że nigdy się nie splamił synekurą w banku, że — w myśl zadań obywatelskich —

nie trwonił talentu za granicą, że nie skaził rąk cudzem mieniem, a jeżeli czasem ukradł, to czynił to z taktem: jemu tylko właściwym oraz z delikatnością, godną człowieka wyższego umysłu. I byłby geniuszem i cnotami swemi świecił społeczeństwu, gdyby nie utonięcie w Pełtwi, które podcięło nici jego męskiego wieku.

Podczas burzliwej nocy i snów niespokojnych, stoczył się z wału w spienione odmęty...

Pokój mu, przedpokój i kuchnia!

## Czuły poemat.

Siedziałem przy niej w kuchence,  
(Gdzie bo poezji dziś nie ma!?)  
Ona mi obiad prażyła,  
Jam jej czytał poema.

Przymknęła oczki ma Micia  
(Podobną była do śpiocha!)  
Wtem patrzę łezki jej biegną  
I szlocha, i szlocha, i szlocha.

— Więc mnie rozumiesz?! — krzyknąłem  
(Wszystko było w tym krzyku?!)

— „Nie... lecz krajałam cebulę,  
„Bo mieć ją chciałeś w befsztyku...“

## Za długo czekać.

Pan Antoni Szczekalski, obrońca w sprawach karnych, miał żonę wielką strojnisię, która korzystając z dobroci swego męża, rabowała go z pieniędzy na drogą toaletę. Jednego razu, gdy pan Szczekalski co tylko z rozprawy do domu powrócił, zaczęła go żona prosić o pieniądze na nową suknię.

— Ach, najdroższa! — zawołał mąż z uśmiechem będziesz miała suknię i to bardzo ładną.. Dziś właśnie bronięm w sądzie klienta, właściciela składu sukien, który za dzielną moją obronę, obiecał przysłać mi materję na kostjum dla ciebie.

— Ach, jakiś ty dobry, mój mężusiu! — zawołała żona, całując go rześścicie, — powiedz mi teraz tylko, kiedy mi on tę materję przyśle?

— Nie tak prędko, kochanie moje! bo aż dopiero za 5 lat...

— Cooo? za 5 lat? Ty chyba żartujesz?..

— Nie żartuję wcale! gdyż on zasądzony dziś został na 5 lat więzienia i gdy karę odsiedzi, wtedy materję ci przyśle...

Pani Szczekalska zemdlała ze złości.

### **Odgryź się.**

Sędzia (do włóczęgi czarno zarosłego): Twoje sumienie musi być tak czarne jak twoja broda.

Włóczęga: Jeżeli mamy sądzić według brody, to pan sędzia niema wcale sumienia, bo niema brody...

### **Nasi myśliciele.**

Rzecz dzieje się w handelku.

— Och, panie Macieju, straszne przeżywamy czasy...

— I w dodatku ciężkie.

— Między ludźmi panuje głód.

— Na samą myśl człowiekowi, aż w żołądku mruczy...

— To prawda... Panie bufetowy! prosimy o dwie porcje szynki, tylko nie tłustej...

— Wyobrażam sobie, jak ci nieszczęśliwi ludzie muszą cierpieć.

— Nie mów mi kolego, bo mi się aż słabo robi... Panie gospodarzu! po szyneccze prosimy o dwie porcje paszteciku!

— I buteleczkę winka!

— Biedni ludzie...

— Powiedz pan, bardzo biedni!..





Ojciec Zając: Będzie zabawa moje dzieci, bo panowie przyjechali na polowanie...



Ojciec Zając: Uciekajcie dzieci! Tu może być bardzo niebezpiecznie, bo to nie będzie polowanie, a tylko pojedynek.

60,  
470203/257110

## Ostrożnie!

„Kto przez ten most jedzie szybkim kłusem, karany będzie grzywną 10 zł. Gdyby tej kwoty uiścić nie mógł, aresztem 24 godzin. Połowę z tego otrzyma donoszący o tem władzy“.

## Jak kto umiera?

Królowie i księżęta schodzą z tronu.

Trębacze i fleciści wypuszczają ostatni dech.

Adwokaci, aktorzy, mowcy milkną na zawsze.

Żydzi przechodzą na łono Abrahama.

Kupcy, bankierzy liczą się z ostatnią minutą.

Podróżni, pielgrzymi, kończą swą podróż.

Kamienicznicy przenoszą się do domów wieczności.

Sędziowie i prokuratorzy zostają wezwani na sąd Boży.

Regenci i notariusze spełniają ostatni akt.

Dłużnicy oddają dług naturze.

Aktorzy i komedjanci odgrywają ostatnią rolę.

Zapalaczom lamp życie gaśnie.

Redaktorzy wydają ostatni numer życia.

Pijacy żegnają się na zawsze z kieliszkiem.



K. P. T. 1501

Antejnak maobro emie  
Porawina

Olejmirak reptawitawo 1/1 1925 po

P.I. 1501

1925